MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 16 WARSZAWA, 18 KWIETNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

KONIECZNE UZUPEŁNIENIE

UWAGĘ społeczeństwa pochłania często nasz system szkolnictwa publicznego. Szkoły powszechne, średnie, wyższe są przedmiotem ogólnego zainteresowania i ogólnej, specjalnie obecnie, troski. W miejszym stopniu społeczeństwo orientuje się w dość zawiłym schemacie szkolnictwa zawodowego.

Te cztery grupy szkolnictwa, niby główne pierwszoplanowe figury, skupiły na sobie całą uwagę społeczeństwa. W cieniu, zupełnie niezauważone, przez główne figury zasłonięte, pozostały drugoplanowe grupy szkolnictwa, oświaty.

Wyciągnijmy je dziś, choć na chwilę, na front. Nadajmy im rozgłos. Pokażmy je społeczeństwu. Nie tyle rządowi, a właśnie społeczeństwu.

I

Tak modny jest dziś frazes: wszystko dla siły obronnej państwa, wszystko dla armii. Wszystko? Dajmy przynajmniej to, co dać istotnie możemy, na co nas rzetelnie stać: dajmy armii rekruta, umiejącego czytać i pisać!

Nie jest to bynajmniej drobiazg. Pięć lat temu, w r. 1932, poddać się miało poborowi wojskowemu 89,784 rekrutów, nie umiejących ani czytać ani pisać! Reszta, w liczbie około 200,000 rekrutów, wedle własnego oświadczenia czytać i pisać umiała. Napewno jednak conajmniej trzecia ich część niewiele umiała wtedy, gdy przez rok lub dwa do szkoły uczęszczała, a i to niewiele w ciągu 10 lat od opuszenia ścian szkolnych zapomniała. Ta scena powtarza się co roku. Armia nasza otrzymuje co roku jakichś 25 — 30% poborowych, których należy na gwałt nauczyć alfabetu.

Spis ludności z r. 1931 podaje, iż z pośród ludności, liczącej więcej, niż 10 lat życia, nie umie pisać i czytać 5,594,000 osób, a czyta, ale nie pisze, 904,000 osób. Daje to dla grupy pierwszej 24,1%, dla drugiej 3;9% ludności. Anglia, Dania, Holandia, Niemcy, Szwajcaria, Szwecja nie mają analfabetów w wieku powyżej 10 lat życia, Francja, Ameryka Północna, Czechosłowacja mają ich 6 — 7%. W obliczeniach Ligi Narodów Polska figuruje jeszcze z cyfrą 32,7%, wykazaną przez spis z r. 1921. Spis drugi, z r. 1931, dotąd Lidze Narodu nie znany (!), poprawił nieco sytuację Polski (z 32,7% na 24,1%). ale do zbliżenia nas do innych państw na zachodzie mamy jeszcze drogę bardzo daleką.

Nie leży w granicach możliwości naszych wytępienie doszczętne analfabetyzmu wśród dorosłych. Byłby to trud zbyt poważny, a nie zawsze skuteczny. Spis lusności z r. 1921 wykazuje, iż w województwach północno-wschodnich starsze kobiety wiejskie prawie zupełnie nie umieją czytać i pisać! Odwrotnie — na zachodzie kraju prawie wszyscy mieszkańcy przeszli przez naukę alfabetu w szkołach. Należy więc z konieczności ograniczyć walkę z analfabetyzmem do: a) roczników młodszych i b) do wszystkich poborowych.

Województwa zachodnie wykazują minimalny procent analfabetów: śląskie 1,4%, pomorskie 4,3% poznańskie 2,8%. Gorzej już jest w województwach centralnych: Warszawa 10,1%, warszawskie 22,4%, kieleckie 26,2%, łódzkie 35%, lubelskie 24,2%, białostockie 23,5%. Dwa ostatnie województwa wykazują wielki odsetek półanalfabetów (umiejących tylko czytać): lubelskie 9,2%, białostockie 9,8%. Małopolskie województwa wykazują znaczne różnice: krakowskie ma 14%, lwowskie 23%, tarnopolskie 20,8%, stanisławowskie 37%. Najgorzej reprezentują się województwa północnowschodnie: wileńskie 32,5%, nowogródzkie 34,9%, poleskie 48%. Te odsetki analfabetów powiększyć jeszcze trzeba na odsetki półanalfabetów i analfabetów wtórnych, t. j. takich którzy czytać i pisać zapomnieli. Da to dla niemal wszystkich województw wschodnich od 50 do 70 procent analfabetów, liczących więcej, aniżeli 10 lat życia. Wo-

jewództwa te dają zatem co drugiego poborowego analfabetę. Akcja walki z masowym analfabetyzmem jest w tych województwach konieczną, stosunkowo łatwą do zorganizowania i niezbyt drogą. Przy niewielkich zasiłkach państwa i samorządu organizacje oświatowe łatwo zorganizują wszędzie kursy dla analfabetów. Inspektoraty szkolne zaś wszędzie znajdą odpowiednie organizacje oświatowe.

Komenda w armii jest wyłącznie polska: kursy dla analfabetów poborowych muszą być wyłącznie polskie.

Wielki odsetek dzieci w wieku szkolnym, pozostających i obecnie poza szkołą, zmusi nas do prowadzenia walki z analfabetyzmem młodego pokolenia jeszcze przez długie lata. Ale raz już tę walkę zacząć trzeba.

II

Zestawienia urzędowe, robione w ostatnich miesiącach, wykazują, iż Polska zatrudnia ponad 9,000 obcokrajowców na stanowiskach inżynierów, majstrów i robotników kwalifikowanych w przemyśle tylko dlatego, że brak nam sił kwalifikowanych własnych. Nawet rząd sprowadza dla technicznego wykonania robót np. na kolejce na Kasprowy Wierch lub przy elektryfikacji węzła warszawskiego specjalistów zagranicznych. Wiemy, że przemysły żelazny, chemiczny, tkacki odczuwają brak kwalifikowanych sił pomocniczych, że brak nam inżynierów w różnych procesach produkcyjnych. Nie jest to zresztą tylko nasz kłopot. Na brak fachowości skarży się przemysł metalurgiczny i maszynowy szwedzki, przemysł szklany angielski, przemysł węglowy belgijski. Kto jednak w Polsce chce należycie ocenić brak fachowców, ten znajdzie dowody gdy przejrzy listę towarów przemysłowych i rzemieślniczych, sprowadzanych z zagranicy, i gdy porówna ubogą naszą produkcję z różnorodną i artystyczną produkcją zagraniczną.

Bez fałszywego wstydu powiedzieć musimy: brak nam wielu fachowców, a ogół naszych pracowników pozostaje na poziomie zawodowym bardzo niskim.

W przemyśle, w rękodziele, w handlu, w komunikacji pracuje w Polsce około 250,000 młodocianych. Już ustawa polska z r. 1924 o ochronie pracy nakładała na pracodawców obowiązek posyłania, a na pracowników młodocianych przymus uczęszczania do szkół dokształcających zawodowych. Szkoły dokształcające istniały już wówczas we wszystkich dzielnicach Polski w liczbie około 500. Dzisiaj jest ich 608, a młodzieży zapisanej 87,327. Zaledwie jedna trzecia część młodzieży jest objęta nauką dokształcającą. Pomijam bardzo różny poziom nauczania tych szkół. Pytam tylko: cóż za fachowcy, cóż za specjaliści wyrosną z owej młodzieży, pracującej zawodowo w naszym rzemiośle i przemyśle?! Przeważnie partacze bez ambicji do postępu i kultury. Głównie proletariat przemysłowy, rzemieślniczy i handlowy. A Polska chce iść w górę, w zwyż!

Po wielu latach bezczynności państwa i samorz[illegible]ów terytorialnego i gospodarczego na tym polu, zdobyliśmy się na ważny krok naprzód w r. 1937. Wyszła ustawa z 29 marca 1937 r. o zakładaniu i utrzymywaniu publicznych szkół dokształcających zawodowych, ustawa oddaje inicjatywę zakładania tych szkół w ręce państwowych władz szkolnych, a obowiązek ich utrzymywania dzieli między państwo i gminy. Mamy więc schemat gotowy. Od 1 września 1937 powinno powstać powiedzmy 1000 nowych szkół dokształcających zawodowych, głównie w gminach wiejskich. Nie powstaną one jednak z tej prostej przyczyny, że budżety państwa i gmin nie przewidują na rok 1937/38 żadnych nowych na te cele kredytów. Czy gminy i państwo znajdą je przynajmniej w budżetach na rok 1938/39? Tego nie jesteśmy pewni.

Nie jest to koszt, przekraczający nasze możliwości. Szkoły dokształcające są tanie. Używają budynków szkół powszechnych w godzinach popołudniowych i wieczornych. Siły nauczycielskie są płatne kontraktowo za odbyte godziny. Stać nas i dziś na ten wydatek.

Prócz tej szarej, a tak ważnej masy czeladników i majstów, stanowiących — jak podoficerowie w armii — konieczny składnik przedsiębiorstwa, istnieje grupa do pewnego stopnia uprzywilejowana: to absolwenci niższych, średnich i wyższych szkół zawodowych. Tym nie brak oczywiście wiadomości teoretycznych. Brak im natomiast doświadczenia i praktyki. Zrozumiały to wyższe uczelnie: politechniki i akademia górnicza kładą silny nacisk na praktyki swych wychowanków. Jeśli elewom tych uczelni na co skarżyć się wolno, to chyba na brak należytej pomocy przy wędrówkach zagranicznych. Młodzież średnich i niższych szkół zawodowych ma za to wiele powodów do żalu: nie ma dostatecznego pola do praktyki, do nabrania doświadczenia. A właśnie zdolniejsi z tej grupy mogliby podnieść poziom produkcji naszych warsztatów średnich i małych, organizację naszego handlu i t. p.

III

Młodzieży rolniczej, potrzebującej dokształcenia zawodowego, mamy kilka milionów. Najłatwiej przy takiej masie o szablon. Ale też takie załatwienie byłoby najbardziej bezwartościowe. Praktykowana przed wojną w Małopolsce t. zw. nauka dopełniająca dla młodzieży wiejskiej w latach od 12 do 15 lat życia miała inne cele, a nie ściśle zawodowe: miała utrwalić wiadomości, wyniesione ze szkoły i poszerzyć nieco horyzonty umysłowe. Do założenia powiatowych instytutów rolniczych nigdy nie doszło. Niższych szkół rolniczych było i do dziś jest mało, ponadto nie cieszą się one popularnością i większą frekwencją.

W latach ostatnich podjęły organizacje rolnicze akcję kursów pod nazwą „przysposobienia rolniczego". Ogłoszone przed kilku miesiącami (w lipcu 1936) sprawozdanie z prac Przysposobienia rolniczego młodzieży wiejskiej przez Centralny Komitet dla Spraw Młodzieży Wiejskiej przy Związku Izb i Organizacji Rolniczych R. P. podaje następujące zestawienie:

było: w r.	1927	1928	1929	1030	1931	1932	1933	1934	1935
zespołów	89	1,493	3,533	5,225	4,168	4,553	5,387	5,892	6,796
uczestników	546	8,961	24,675	34,891	30,250	33,547	39,539	41,893	47,910

W r. 1935 młodzież podzieliła się następująco: na kursach uprawy było 34,745, hodowli 4,975, warzyw 7,683, ogródków kwiatowych 472, innych 335.

Na roli pracuje i z roli żyje około 70% mieszkańców kraju. Nawet drobne polepszenie uprawy roli, selekcji nasion, prowadzenia sadu, hodowli bydła i drobiu, pasieki, mleczarni, ale w skali ogólnej, krajowej, dać może wyniki olbrzymie. Stąd przysposobienie rolnicze młodzieży wiejskiej ma i dla kultury mas i dla dobrobytu tych mas olbrzymie znaczenie. Kursów, szkół, wystaw, ferm doświadczalnych, wycieczek winniśmy mieć co roku dziesiątki i setki tysięcy. Słuchaczów i uczestników — miliony. To, co jest, obejmuje rocznie powiedzmy jeden do dwu procent młodzieży tego przysposobienia potrzebującej.

Czy trzeba na rozbudzenie tego ruchu setek milionów zł. rocznie? Wystarczy na początek 10—20 mil. zł., a efekt dobrze wydanej sumy może być wręcz olbrzymi.

Państwo ma, jeśli chce, nieraz rękę hojną. Na premie wywozowe zboża wydawało rocznie w latach ostatnich do 50 mil. zł. rocznie. Trzecią częścią tej sumy można było zorganizować w Polsce przysposobienie rolnicze młodzieży wiejskiej przynajmniej jednego rocznika w całej Polsce.

W r. 1937 rząd przestał wypłacać premie zbożowe. Niech choć część zaoszczędzanej sumy przeznaczy na dokształcające kursy rolnicze, a dobrze przysłuży się rolnictwu i Polsce.

— — — — — — — — — — — —

Oto trzy przykłady, najbardziej jaskrawe i typowe, luk w naszym systemie szkolnym i wychowawczym.

Wydajemy rocznie na utrzymanie szkół wszystkich typów około pół miliarda zł. Warto dodać jeszcze dziesięć procent do tej sumy, aby otrzymać wszystkie korzyści z nauki normalnej i z doświadczenia, jakie daje życie.

STANISŁAW RYMAR

DRAMAT HISZPAŃSKI.

CZASY ALFONSA XIII

(Dokończenie)

PRÓCZ ARMII wielką siłą tradycyjną Hiszpanii był i jest Kościół katolicki. Król Alfons XIII jest gorącym katolikiem, ale nic w czasie swego panowania nie uczynił co byłoby wyrazem nietolerancji. Licząc się z sytuacją polityczną Alfons XIII często podtrzymywał ministrów bądź religijnie obojętnych, jak Moret lub zdecydowanych wolnomyślicieli jak Canalejas. Alfons XIII podpisał konkordat opracowany przez liberała Sagastę, poddający wszystkie zakony w ich stosunkach z państwem przepisom ustaw powszechnych; ogłosił także Alfons XIII dekrety zwalniające od wszelkiego oświadczenia religijnego osoby chcące wziąść tylko ślub cywilny; Canalejas skłonił monarchę do podpisania t. zw. ustawy „Cadenas", zabraniającej zakładania w Hiszpanii nowych zakonów.

Niektórzy duchowni mieli osobiście duży wpływ polityczny na króla; wśród nich najwybitniejszy był ojciec Martinez, którego król oddalił natychmiast po wybuchu Wielkiej wojny za ujawnianie germanofilizmu. W r. 1929 przybył do Hiszpanii generał Jezuitów i polecił członkom swego zakonu przygotowanie się do przewrotu republikańskiego, aby zobowiązać republikańskich rządców wobec katolicyzmu; kierując się tą myślą wielu duchownych i działaczy katolickich głosowało ostentacyjnie w kwietniu 1931 roku w czasie wyborów municypalnych na listy republikańskie.

Rezultaty takiego oddzielenia sprawy katolicyzmu od tronu „króla katolickiego“ (tytuł oficjalny monarchy Hiszpańskiego) nie dały na siebie czekać: gdy po ogłoszeniu republiki zapłonęły dziesiątki kościołów i klasztorów, jeden z ministrów nowego *regime'u* oświadczył na posiedzeniu rady ministrów: „Życie jednego republikanina jest więcej warte niż wszystkie kościoły Hiszpanii". Wodzowi katolików republikańskich, Gil Roblesowi, nie udało się odzyskać setnej części tej opieki i tolerancji, jaką otoczony był katolicyzm nie tylko, rzecz prosta, dzięki Primo de Riverze, ale nawet za rządów Canalejasa.

Dość rozpowszechniona jest opinia, że przyczyną ciągłego wrzenia w Hiszpanii i powodzenia doktryn rewolucyjnych była zaogniona kwestia społeczna. Wypada stwierdzić, że monarchia Alfonsa XIII-go nie stała bynajmniej na przeszkodzie poprawie a nawet zdecydowanej reformie stosunków społecznych. Już w r. 1902 z osobistej inicjatywy młodego króla założony został w Madrycie Instytut reform społecznych, który opracował szereg projektów ustaw następnie wprowadzanych w życie. Liberalne ustawy polityczne i wyznaniowe (wolność sumienia, śluby cywilne, głosowanie powszechne) istniały już przed objęciem rządów przez Alfonsa XIII-go; podobnież już przed r. 1902 obowiązywały ustawy o opiece nad dziećmi, o pracy kobiet i dzieci w zakładach przemysłowych, o wypadkach w czasie pracy. W r. 1902 Canalejas, zostawszy po raz pierwszy ministrem, wkroczył śmiało na drogę ustawodawstwa społecznego, wydając przepisy o umowach pracy, tworząc inspektoraty pracy, zakłady pomocy dla robotników; począł również Canalajas regulowanie niezwykle dysproporcjonalnego stanu posiadania ziemi i założył Urząd pracy, rodzaj ministerstwa pracy i opieki społecznej. Ten sam minister najbardziej przejęty sprawą społeczną był jednak stanowczo przekonany o niemożliwości przeprowadzenia reform w stanie anarchii przez żywioły, którym chodziło właściwie o rabunek i pochwycenie w ręce władzy; będąc premierem Canalejas bezwzględnie wystąpił przeciw strajkom, zmilitaryzował strajkujących i przeprowadził ustawę o obowiązkowym arbitrażu.

Polityka Canalejasa odbierała wywrotowcom materiał demagogiczny i w r. 1912 Canalejas został zamordowany; w pewnym stopniu istnieje analogia między postawą, polityka i losami Canalejasa i Stołypina; obaj dokonywując reform pow-

strzymywali falę chaosu i tyranii rewolucyjnej, być może iż zarówno w Hiszpanii jak w Rosji wypadki potoczyłyby się inaczej, gdyby nie kule Pardinasa i Bagrowa. Zaciekła opozycja hamowała dokonanie reform politycznych, społecznych i gospodarczych, które starał się przeprowadzić sam monarcha i najwybitniejsi jego ministrowie; próby decentralizacyjne Maury zakończyły się wybuchem rewolty w Katalonii, reformy Canalejasa wywołały strajk powszechny, zamiar Primo de Rivery przystąpienia do reformy rolnej wzniecił bunt dowodzonego przez oficerów z arystokracji pułku w Ciudad Real. Upadek gabinetu (Maura 1909), śmierć (Canalejas 1912), odsunięcie od rządów (Primo de Rivera 1930) to były skutki, na które siebie skazywali mężowie stanu, którzy jak sam król nie chcieli reprezentować wyłączności klasowej „warstw pracujących", wojskowych ani arystokracji.

Hiszpańska arystokracja bynajmniej nie ułatwiała sytuacji tronu; jej przedstawiciele zasilali głównie szeregi stronnictwa liberalnego (hrabia Romanones, markiz de la Vega, książęta de la Veragua i Almodovar), oni także najostrzej wystąpili przeciw Primo de Riverze w r. 1929; w przełomowych miesiącach 1930 i 1931 roku najwyższa arystokracja wywierała na króla wpływ w kierunku najbardziej defetystycznym i oszałamiającym („towarzystwo z pałacu Liria": książe Alba i księżna San-Tona), zaś w ostatnim rządzie królewskim otwarcie przygotowywała przejście do *regime'u* republikańskiego (wyznanie otwarcie uczynione przez księcia Maurę ministra w rządzie admirała Aznara). Przy końcu rządów Primo de Rivery duża część arystokracji finansowała agitację republikańską a za to w r. 1931 powstrzymywała się od poparcia finansowego organizacji monarchistycznych. Nieliczne tylko jednostki z arystokracji hiszpańskiej i z przedstawicieli wojskowości chciały zajmować lojalnie nadklasowe stanowisko; hrabiowie Guadalhorce (Primo de Rivera przedstawił go królowi na swego następcę) i Goichoecea (obecnie szef stronnictwa „Renovatione Espanola") byli wyjątkami podobnie jak sam Primo de Rivera, grand i generał, oraz generał hr. Cavalcanti (jedyny generał, który błagał Alfonsa XIII-go w dn. 14 kwietnia 1931, aby nie opuszczał Madrytu i utrzymał władzę w swoim ręku).

Przez cały czas panowania Alfonsa XIII istniały elementy, które spowodowały przewrót z 14 kwietnia 1931 roku. Hiszpania była ciągle zagrożona rewolucją, podminowana przez ambitnych intelektualistów z obozu republikańskiego, demagogów klasowych i międzynarodówkę masońską i finansową. Pierwszy raz stanęła Hiszpania w obliczu bliskiego przewrotu w r. 1909 w czasie „krwawego tygodnia" w Barcelonie; mocna wola konserwatywnego premiera Antoniego Maury i ministra spraw wewnętrznych La-Cierva stłumiły wysiłki destruktorów i jednolity blok wszystkich stronnictw lojalnych przeciwstawił się zamachowcom. W r. 1911 musiał Canalejas użyć jak najostrzejszych represji wobec podnoszącej się fali rewolucyjnej; niezbyt szczęśliwe było rozwiązanie kryzysu po zamordowaniu Canalejasa, gdyż król powołał wtedy do rządów jedną z najbardziej podejrzanych figur polityczno-finansowych, hrabiego Romanonesa, ale flirt z lewicą, która chciała rozbroić monarchię nie zakończył się już wtedy katastrofą, gdyż wybuch wojny swiatowej zaabsorbował umysły i do roku 1917 osłabił prężność żywiołów rewolucyjnych. Ogłoszeniu republiki dyktatorskiej lub demokratycznej zapobiegł w r. 1923 Primo de Rivera, ale doszło wreszcie do możliwej od trzydziestu lat katastrofy w r. 1931. Dlaczego?

Politycy konserwatywni i liberalni odgrywający rolę przed wojną (konserwatyści Maura, Dato, liberałowie Montero Rios, Moret, Lopez Dominguez) nie stawiali pod znakiem zapytania sprawy *regime'u*, nawet ówcześni republikanie składali hołd osobistym zaletom króla i brali udział w konferencjach w pałacu Alfonsa XIII (Soriano, Azcarate), ale po rządach Primo de Rivery politycy byli rozgoryczeni. Przez sześć i pół lat monarcha nie wzywał ich do swego pałacu, Primo de Rivera nie zaspokajał nawet ich osobistych ambicji (koserwatysta Miguel Maura, syn dawnego premiera don Antonia, ogłosił, że jest republikaninem, gdy wszczęto śledztwo za oszukańcze manipulacje bankowe przeciw jego teściowi hrabiemu de Morol de Calatrava; Alcala Zamora, dwukrotnie minister królewski, stał się republikaninem, gdy nowy statut Akademii Hiszpańskiej odebrał mu nadzieję zostania akademikiem); wobec tego, że król dozwolił krajowi obywać się bez parlamentarzystów, postanowili oni obejść się bez króla. Ogół społeczeństwa po za częścią arystokracji, garścią ambitnych wojskowych (generał Queipo de Llano, major Franco, brat generała) i politykami oraz spekulantami, był zadowolony z rządów Primo de Rivery; nieliczne ale finansowo i towarzysko bardzo wpływowe koła, skorzystały z niesłychanej depresji Alfonsa XIII-go po śmierci królowej matki, Marii-Krystyny, przedstawiły monarsze, że dalsze trwanie systemu wywołoby rewolucję i same rozdrażniały żywioły uśmierzone przez prawie siedem lat.

Błędami Primo de Rivery było zapóźne przystąpienie do przebudowy gospodarczo-społecznej i przytłumienie tylko a nie całkowite wypalenie elementów roztroju; błędem Alfonsa XIII-go było poddanie się, nie po raz pierwszy zresztą, depresji (podobnej depresji uległ Alfons XIII na kilka miesięcy po jednoczesnem zamordowaniu w r. 1908 króla Carlosa portugalskiego i infanta Ludwika), zasklepienie się w kółku krótkowzrocznych osobistych przyjaciół („towarzystwo z pałacu Liria"), niespełnienie życzenia Primo de Rivery, aby po jego ustąpieniu utrzymać rząd autorytatywny, nie wracać do konstytucji z r. 1876, nie pertraktować z politykami i powierzyć kierownictwo rządu hrabiemu Guadalhorce.

Po ustąpieniu Primo de Rivery postanowiły obudzone żywioły przewrotu wywołać wielką reakcję, któraby wreszcie pochłonęła i króla i cały *régime*. Alfons XIII musiał być ukarany za siedem tłustych lat przez tych, którzy korzystali z bezkarności, choć byli sprawcami dwudziestu jeden lat chudych. Ogłoszono, że Alfons XIII zdradził konstytucję z 1876, choć jako monarcha dziedziczny był on przedstawicielem instytucji państwowej starszej od instytucji konstytucyjnych z 1876 r. i choć wrogowie króla nie myśleli przywrócić tej konstytucji. Przez trzy dziesiątki lat rozlegała się w Hiszpanii z to większem to mniejszem natężeniem złowroga piosenka: „Krew popłynie ulicami, aż się zatrze imię króla". W roku 1931 politycy, masoni, ambitni generałowie, demagodzy i awanturnicy zostali wreszcie sami; król odjechał i, jak stwierdził, zamordowany przed kilku miesiącami

w Madrycie, znakomity pisarz Carretero: „Aby republika zatryumfowała upadliśmy wszyscy razem z koroną Alfonsa XIII-go". Obiektywne badanie panowania Alfonsa XIII-go pozwala skonstantować, że nie był on przeszkodą ani w imperialnym ani w społecznym i gospodarczym postępie Hiszpanii; przeciwnie nikt goręcej niż on nie propagował idei hiszpańskiej jedności imperialnej w Europie i Ameryce, żaden Bourbon nie był tak popularny w krajach środkowej i południowej Ameryki; żaden również monarcha hiszpański od Karola III (1759 — 1788) nie okazywał tyle inicjatywy, nie był dalszym od legendowego „*roi fainéant*". Od czasu pokoju Utrechckiego nie była Hiszpania tak poważnem państwem w europejskiej polityce zagranicznej, jak za Alfonsa XIII (okazało się to szczególnie w czasie wojny światowej), dodajmy, że Alfonsowi XIII dużo zaszkodził jego frankofilizm, który być może, przeszkodzi jego ewentualnemu powrotowi na tron. Upadek monarchii hiszpańskiej przed sześciu laty był wynikiem sytuacji psychologicznej i dokonanie się przewrotu zależało od woli bardzo nielicznych grup; prawie do ostatniej chwili rozwiązanie kryzysu i ocalenie *regime'u* zależało od Alfonsa XIII-go i przyznać trzeba, że był on w daleko łatwiejszem położeniu niż Ludwik XVI i Mikołaj II. Przewrót z 14 IV 1931 r. jeszcze bardziej niż wielkorewolucyjna katastrofa francuska i upadek cesarstwa Romanowych wskazuje na decydujące znaczenie czynnika psychologicznego tak samo w przewrotach rewolucyjnych jak na wojnie.

LESZEK GEMBARZEWSKI

Z LISTÓW ASNYKA DO OJCA

(Dokończenie)

Kraków 20 lutego 1879 r.

Najdroższy Mój Ojczulku! W Krakowie szaleją tego roku, jak nigdy. Codzień kilka wieczorów i balów. Był wspaniały kulig u X. Lubeckich wyprawiony dla Arcyksięcia i jego żony; tygodniowe wieczory u Czartoryskich, Żółtowskich, Lasockich... Prócz tego dużo publicznych balów: kostiumowy piknik kawalerski, kulig u Strojowskich i t. d. Ja naturalnie do tego wiru nie należę. Bywam tylko czasem na obiedzie u Tarnowskich lub wieczorem u Czartoryskich, gdy niema tańców. Po większej części siedzę w domu i piszę, myślę lub czytam.

W Pradze Czeskiej będą przedstawiać „Kiejstuta", pisał już do mnie tłumacz, zawiadamiając o tej decyzji dyrekcji Teatru Narodowego i prosząc zarazem o dozwolenie przekładu. W „*Narodnich Listach*" (czeskim politycznym organie) ukazała się już bardzo pochlebna recenzja tego utworu, w „*Swietozorze*" zaś mój portret i biografia. Słowem Czesi daleko więcej teraz mną się zajmują, niż rodacy. „*Lumir*" ciągle umieszcza nowe przekłady moich poezyj, bardzo pięknie oddane. „*Revue Slave*" także już dała jedną w francuskiem tłumaczeniu, a ponieważ są także niemieckie i włoskie, więc zakres moich czytelników znacznie się rozszerzył. Szkoda tylko, że w tym stosunku nie rozszerzają się dochody, ale co robić? trzeba się pocieszać, że i uznanie ludzkie także coś warte...

Kraków d. 8 maja 1879 r.

......Ja jestem już dość zmęczony życiem, ale idę naprzód z rezygnacją. Dużo trosk i bólu, a mało chwil jaśniejszych na drodze...

Kraków d. 24 maja 1879 r.

......Szczęście jeszcze, że dnie długie, a krótkie wieczory, samotność więc nie daje się tyle uczuć. W ogródku kwitną bzy, narcyzy i konwalie, ptaszki ścielą sobie gniazdeczka, więc przynajmniej na chwilę myśl się rozweseli. Na wiosnę przytem Kraków najpiękniejszy, gdy kasztany na plantach pokryją się świeżą zielonością i kwieciem. Szkoda tylko, że wiosna tegoroczna po większej części dżdżysta i ponura. Zdaje się, że cała ziemia ziębnie wraz ze swemi mieszkańcami. Daje się czuć brak ciepła w naturze i ludziach. Radbym się z tego powodu przenieść na jaką inną planetę, ale trzeba czekać cierpliwie, póki nie wyjdzie termin obywatelstwa na ziemi...

Kraków d. 18 czerwca 1879 r.

...w jego (Władzia) ożywionej twarzyczce skupia się całe światło, rozjaśniające mój każdorazowy pobyt w Poznaniu (u doktorstwa Kaczorowskich). Władzia zastałem bardzo rozwiniętym tak fizycznie jak moralnie, robi pod każdym względem wrażenie chłopaczka przynajmniej czteroletniego...

Raz tylko jeden ja i doktór wyjechaliśmy z Władziem na przejażdżkę, pani bowiem przez cały czas uparła się nie wyjeżdżać i nie chciała dopuścić, żebyśmy dziecko ze sobą wzięli. To też powrót z tej jedynej przejażdżki uwieńczony był kolosalną sceną, pani bowiem spazmowała i krzyczała wciąż przeraźliwie nawet na własnego męża „precz! precz!", że na całem piętrze słychać ją było. Pouciekały sługi, uciekł i mąż, a ja od początku schroniłem się do przeznaczonej mi na pobyt stancyjki i przysłuchiwałem się z oddali szalejącej burzy...

Kraków d. 25 listopada 1379 r.

...Niemcy zrobili mi niespodziankę. Niejaki pan Reden, radca regencji poznańskiej hanowerczyk rodem, przetłumaczył na język niemiecki „Kiejstuta", wydał w Poznaniu i przyrzekł jeden egzemplarz. Przekład, wogóle biorąc, wcale dobry, i recenzje dzienników bardzo pochlebnie o nim się wyrażają...

...Pan Meissner, artysta dramatyczny w Burgu wiedeńskim, a zarazem autor, tłumaczy mojego „Żyda", i zgłosił się do mnie z prośbą o pełnomocnictwo do wystawienia go na scenach niemieckich...

Zgłaszają się teraz do mnie ciągle nowi tłomacze w Czechach; mam ich aż czterech. Ale na tem wszystkiem bardzo utyć nie można.

Kraków d. 28 maja 1880 r.

...W parę dni po św. Zofji mieliśmy zjazd liczny w Krakowie z powodu połączonych uroczystości rocznego posiedzenia Akademii i czterechsetletniego jubileuszu Długosza. Zjechali się więc prawie wszyscy polscy historycy, a prócz tego niemieccy profesorowie: Roeppel i Caro z Wrocławia, i czeski dziejopis Tomek z Pragi. W dodatku różni dziennikarze i ciekawi goście. Oprócz posiedzeń Akademii i kongresu historycznego, oprócz uroczystego złożenia kości Długosz do odnowionej krypty i poświęcenia wzniesionego sarkofagu, pełno było w Krakowie przyjęć, obiadów i wieczorów dla przyjezdnych gości. Ja, jako niehistoryk, mało brałem udziału w tym ruchu: byłem tylko na obiedzie u Tarnowskiego i w teatrze na przedstawieniu obrazu dramatycznego „Długosz i Kallimach“ pióra Szujskiego. Na wieczorach u Popiela, Szujskiego i Bobrzyńskiego pomimo zaproszeń, nie byłem...

Miałem jednakoż dość odwiedzin — Kraszewskiego, Wacława Szymanowskiego, Łozińskiego i wielu innych. Szymanowski czytał nam w małem kółku swój nowonapisany dramat p. t. „Posąg"... Właśnie przedstawiono także i w Warszawie i w Krakowie moją ostatnią komedię p. t. „Przyjaciele Hioba" — w Warszawie przed dwoma tygodniami po raz pierwszy, a w Krakowie przed dwoma dniami... Podobała się i tu i tam według wszystkich wiadomości z Warszawy, a naocznego przekonania się w Krakowie...

Nie tracę nadziei, że jeszcze będę mógł odwiedzić Konary i osobiście wszystkich powitać. Obiecują mi wystarać się o pozwolenie przyjazdu do Królestwa; być może, iż w jakiej pomyślniejszej chwili da się to wyrobić...

Kraków d. 8 września 1880 r.

...Uroczystości z powodu przybycia Cesarza świetnie się udały w Krakowie z wyjątkiem może balu, na który zanadto wiele rozesłano zaproszeń, i z tego powodu powstał ścisk niemożliwy. Zato okrężne i wesele krakowskie na rynku wieczorem w oświetleniu sztucznych ogni przepysznie wyglądało. Cesarz cały czas tutaj był w różowym humorze, ale go popsuł sobie teraz na manewrach, te się bowiem fatalnie nie powiodły. Nieład miał być ogromny, manewrujące oddziały pogubiły się lub pospóźniały, ruchy wykonane zostały źle i wojsko poszło w rozsypkę, jak po istotnie przegranej bitwie. Najwięcej miał zawinić generał Windischgraetz, ale ogółem całe manewry miały wypaść kompromitująco dla całej jeneralicji austriackiej. Arcyksiąże Albrecht miał się nie posiadać z gniewu i Cesarz stracił całkowicie dobry humor.

Kraków d. 2 grudnia 1880 r.

...Zapewne Ojczulek już się z gazet dowiedział, że się zawiązało w Krakowie Koło artystyczno-literackie, które Kossaka obrało prezesem, a mnie wice-prezesem. Zaledwie zdołałem podźwignąć tę wielką godność, gdy w ślad za tem Towarzystwo Muzyczne wybrało mnie swoim delegatem artystycznym. Widocznie więc wszedłem w modę u krakowskiego narodu. W salonach arystokratycznych odbywają się literackie wieczory, na których komentują moje wiersze. Zresztą i zagranica stara się ostemplować mnie na swoim targu. Księgarz i wydawca lipski zgłosił się do profesora Germana, aby mu przetłumaczył na niemieckie moje poezje, i, co więcej, przysłał mu zgóry znaczne honorarium...

Kraków d. 27 lutego 1881 r.

Dzisiejszy list przedewszystkiem rozpocząć muszę tem, co główny jego przedmiot stanowi i złożyć na czele przy nadchodzącym dniu Twoich Imienin najszczersze i najgorętsze życzenia, płynące z głębi uczuć synowskich. Wraz z życzeniami najdłuższych i najszczęśliwszych lat posyłam Ci wszystkie uściski, któremi radbym Cię obsypać i wszystkie słowa miłości, które mi się cisną na usta, a których osobiście nie będę mógł wyrazić. Martwe litery zastąpić jeszcze muszą żywe uściski i słowa, lecz niechaj i one przemówią do serca Twego tak, jakbym ja pragnął przemówić; niech w chórze życzliwym Twoich najlepszych przyjaciół zabrzmią głośnem na zdrowie i pomyślność Twoją.

Teraz, przycisnąwszy się do piersi Ojcowskiej i ucałowawszy Twe ręce, przystąpię do zwykłej listownej pogadanki.

Karnawał ku końcowi bardzo się ożywił w Krakowie. Ja sam musiałem być dotąd na dwóch balach publicznych, na których przeznaczono mi rolę gospodarza. Były to bale: jeden na pomnik Mickiewicza, a drugi – Towarzystwa św. Salomei,.. Prócz tego mieliśmy ten tydzień poświęcony Deotymie, która przyjechała z Warszawy, zaproszona na gospodynię balu mickiewiczowskiego. W niedzielę przyjmowano ją u proferów Zatheyów..., w poniedziałek właśnie ów bal mickiewiczowski; w środę przyjmowaliśmy ją w Kole artystyczno-literackiem; w czwartek—wielkie przyjęcie u X-ej Marceliny Czartoryskiej; w piątek — u profesorów Straszewskich; w sobotę, t. j. wczoraj, bal u Tarnowskich.

Słowem, cały tydzień wypełniony Deotymą. Nie dość tego! Dziś jest bal teatralny, a jutro — najświetniejszy ze wszystkich bal pożegnalny dla byłego prezydenta, a dzisiejszego marszałka Zyblikiewicza. Będzie to bal kostiumowy i odbędzie się w Sukiennicach. Kostiumy będą bądź to wiejskie z różnych okolic kraju, bądź historyczne polskie z siedmiu różnych wieków. Pani Sokołowska będzie ubrana jako Kinga, pani Gadomska, jeśli się nie mylę, jako Barbara. Deotyma również wystąpi na tym balu, ale pewnie nie kostjumowana.

...Teraz nastąpią wybory do Rady Państwa. Tu postawiono także moją kandydaturę, ale ja jej się na teraz zrzeknę, bo jeszcze jest przedwczesną. Wystąpię dopiero w takim razie, jak już pewnym będę zwycięstwa, a muszę tem oględniej postępować, że nie mam, jak inni, środków, ażeby łożyć na agitację wyborczą, a choćbym je posiadał z zasady byłbym przeciwny wszelkiemu pozyskiwaniu głosów pieniędzmi.

Kraków d. 3 lutego 1882 r.

...Ma słuszność Drogi Ojczulek, że zajęcia dziennikarskie czas zupełnie pochłaniają i sprowadzają wiele trosk i kłopotów. Trzeba mieć ner-

wy jak postronki, żeby zachować krew zimną i obojętność. Możebym się i wycofał odrazu, gdyby nie przeświadczenie, że cofnięciem się swojem byt dziennika zostałby zachwianym; żal mi więc w samym zarodzie przyczynić się do jego ruiny, a to tembardziej, że, jak na początek, bardzo świetnie iść zaczyna. Mamy około tysiąca dwieście prenumeratorów — cyfra w Galicji w pierwszym kwartale dziennika niesłychana. Jak dziennik stanie zupełnie na nogi, będę się mógł z czystem sumieniem usunąć, ale do tego czasu przynajmniej przez dwa kwartały jeszcze będę musiał trudnić się dziennikarskiem rzemiosłem, jeżeli nie nastąpią jakie nieprzewidziane okoliczności...

...W Krakowie ruch karnawałowy bardzo ożywiony, balów publicznych i prywatnych mnóstwo. Nie brak też skandali wszelkiego rodzaju. Jeden z ważniejszych — historja z Kraszewskim, który wybierając się do Lwowa dla ufundowania Macierzy polskiej (dla celów krzewienia oświaty ludowej) odebrał wiele listów z radami lub pogróżkami, mającemi na celu powstrzymanie go tej podróży. Kraszewski odczuł to bardzo boleśnie, rozchorował się i nie pojechał. Drugi skandal, nieznany jeszcze szerszej publiczności jest następujący: Na balu pomnika mickiewiczowskiego był obecnym marszałek, a niegdyś prezydent Krakowa, Zyblikiewicz. Wedle ustanowionego przez Komitet porządku miał on rozpocząć bal polonezem w parze z żoną obecnego prezydenta Weigla.

Było to ze wszech miar stosownem, i Komitet przed samem rozpoczęciem poloneza przypomniał mu, że ma tańczyć z Weiglową. Ale pan marszałek odezwał się na cały głos: „Nie będę tańczył z żoną tego durnia” i, następnie wziąwszy panią Tarnowską, z nią rozpoczął poloneza. Następstwem tego jest to, że Weigl posłał dziś do Lwowa generała Millera, brata swej żony i Leona Chrzanowskiego, posła do Rady państwa, aby w jego imieniu wyzwali Zyblikiewicza na pojedynek. Bardzo ciekawa historja!

[ADAM ASNYK]

KLIO NA PRZESZKOLENIU

JUŻ TYLE RAZY trapiono nas historyków rewizją—tyle razy próbowano nas musztrować: dr. Olgierd Górka żądał lepszej logiki i trzeźwiejszych obliczeń, dr. Boy Żeleński posądzał o ukrywanie „zielonych teczek” i pokazywał jak się podchodzi do dziejów przez alkowy; dr. K. M. Morawski odżegnywał się od „nauki oficjalnej”; red. St. Piasecki wołał „więcej aktualności! z życiem Panowie!” — że możnaby stracić na te kołatania wszelką wrażliwość i przestać reagować na hasła rewizji, gdyby nie to, że, ostatnio głosi je publicysta chłodny i rozważny, przytem ideowo nam blizki, p. Stanisław Kozicki, który jej żąda w imię dobra narodu. Spróbujmy z nim porozmawiać.

Czy tylko on rozmawiać zechce? Bo racjonalna rozmowa to jest wymiana myśli, to szukanie kontaktu, dążenie do wspólnej prawdy, a nie jakieś: „dziad swoje, baba swoje”. Przecież na temat rewizjonizmu historycznego pisze się nieraz: i w dawnem „ABC” i w „Kurierze Warszawskim” i w „Kurierze Poznańskim”; pisało się uchwytnie, jakby zachęcając do dyskusji i co więcej, popełniło się niedawno książkę, która daje przegląd krytyczny wszystkich ważnych faktów i sądów od Statutu Łaskiego do Kościuszki. Pan Kozicki, zamiast nawiązać do tego wątka i szukać z n a m i wspólnej prawdy, wsiada na swego ulubionego Rousseau'a, dyskwalifikuje całą naszą historię XVIII w., jako znaną jedynie w oświetleniu masońskiem, stwierdza jednak, że „pisarze obozu narodowego dawno już zwrócili na to uwagę, próbowali tu i owdzie oświetlić wypadki z innego punktu widzenia”. Zbliża się nieunikniony przewrót—jeżeli chcemy go wygrać, to musimy przeżyć „prawdziwą rewolucję w umysłach”. „Rewolucji tej zaś musi towarzyszyć wszechstronna rewizja naszych poglądów historycznych”.

Rewidować—dobrze; ale kto ma tego dokonać? P. Kozicki upewnia, że „dla swoich celów robili to byli Szujski i Bobrzyński, na użytek wolnomularstwa zrobił to Szymon Aszkenazy”. Otóż, wszyscy ci poprzednicy nawet wówczas, gdy mówili o „fałszywej historii”, poprawiali pewne części dotychczasowej wiedzy według własnych lub cudzych źródłowych badań, a nie na zamówienie publicystów. Przytem Szujski i Bobrzyński spierali się zawzięcie, zaś Askenazy (nie Aszkenazy), działając w niezłej zgodzie z ówczesnym poglądem narodowców, wywalczył miejsce w nauce urzędowej dla studiów porozbiorowych; powstań ryczałtowo on nie bronił; spiski—w zgodzie z poglądem narodowców—przedstawiał jako naturalny wpływ ucisku i walki o niepodległość, jeśli zaś chodzi o tak zwaną orientację, to w wykazywaniu rosyjskiego i pruskiego niebezpieczeństwa zachowywał dość długo równowagę. Wszyscy trzej pisali z własnego przekonania, a nie na wezwanie zzewnątrz.

Dziś apel idzie do „młodszych historyków”, aby nam dopasowali pogląd na przeszłość—widocznie wbrew zapatrywaniom starszych — według wymagań walczącego obozu narodowego. W jakich granicach da się to zrobić logicznie i uczciwie?

„*Vita*“ występuje jako „*magistra historiae*” w trojaki sposób: albo zmienia kryteria o c e n moralnych, nie tykając budowy faktów; wówczas mówimy o patrzeniu na dzieje przez nowe, innej barwy okulary. Albo akcentujemy rolę pewnych czynników rzeczywistości, np. klas społecznych, form produkcji, poglądów na świat, do czego pohop daje odkrycie nieznanych ważnych faktów albo powstanie nowej koncepcji socjologicznej. Albo interesujemy się coraz to nowemi wartościami cywilizacyjnemi, bez względu na ich życiową wagę i na ich zgodność z sumieniem piszącego — co filozofia niemiecka (Rickert) nazwała „*Wertbeziehung*”.

Pierwszy pogląd nie zmienia układu faktów, drugi go zmienia czasem nawet radykalnie; trzeci wpływa tylko na dobór treści w książkach. To

o co chodzi panu K., należy tylko do 2-ej i 3-ej kategorii. Stwierdzając np. większą, niż myślano, rolę historyczną masonerji, przesuwamy na jej stronę dźwignię ruchu dziejowego; bagatelizując społeczną wartość liberalizmu, sprawiamy tylko to, że się o nim będzie mniej pisało, a więcej o Kościele, monarchii i t. d.

Otóż, czy można zarzucić historjografii „starych", że nawiązują do nieistotnych wartości cywilizacyjnych, albo że nie odróżniają rzeczy ważnych od nieważnych? Zostawmy na boku pisarzy, dalekich od ruchu narodowego, podejrzanych o świadome lub bezwiedne związki z masonerią; zostawmy takiego Świętochowskiego, co w okresie współpracy z „Myślą Narodową", zrewidował nam „Historię chłopów" na ciemno, a potem na łamach narodowego tygodnika „Prosto z mostu" wywiódł nam tak okropną „Genealogję teraźniejszości", że nietylko Korzon ale i sam ksiądz Kalinka, czytając ją, musieliby się... w grobach przewracać. Ostatecznie przecież Świętochowski był zawsze myślicielem-indywidualistą, a do źródeł właściwych nie docierał. Abstrahujmy też zgóry od kryterjów rasowych, bo one nie wiele nam pomogą: rdzenny, krwisty Mazur, Władysław Smoleński z większą sympatją pisał o asymilatorach XVIII wieku, niż Kraushar o frankistach, a w walkę z katolicyzmem włożył więcej zapału niż Askenazy, Handelsman i Feldman razem wzięci (wszyscy w tej sprawie bardzo dyskretni). Mówmy tylko o historykach narodowcach.

Ekonomista i historyk Roman Rybarski rzucił moc nowego światła na handel polski XVI w. i jego funkcje gospodarczo-społeczne, na gospodarkę w królewszczyznach i ekonomiach, później na skarbowość epoki stanisławowskiej, przyczem nie zapomniał o żydach, ale, zdaje się, nie podzielił różowych poglądów innego narodowca, ekonomisty i historyka, ś. p. Henryka Radziszewskiego na „polską ideę gospodarczą", a takich rewelacyj, o jakie chodzi p. Kozickiemu, nie szukał.

Gorący narodowiec, ś. p. Wacław Sobieski, śledził z upodobaniem przebłyski narodowego uświadomienia za Zygmuntów, związał duszę z walką o Pomorze—ale z niemniejszą miłością afirmował ożywczą moc złotej wolności oraz tolerancji, przy których potępiany przez p. Kozickiego demoliberalizm i humanitaryzm XIX w. powinienby się wydać... słabostką do wybaczenia.

Niżej podpisany ogłosił książkę (nad którą głębokie uwagi snuje w „Myśli Narodowej" p. Karol Stefan Frycz), książkę, gdzie niema rozdziału bez rewizji, gdzie ośrodkiem i twórcą historii jest naród, gdzie podkreślono i rolę żydów i zaznaczono (w granicach tego, co mówią źródła) rolę wolnomularstwa, ale i to p. K. nie wystarcza: „młodzi, zajmijcie się czem innem".

Narodowiec prof. Kazimierz Tymieniecki rewindykuje nam na każdym kroku rodzimy charakter i samoistność narodowego rozwoju, z ujmą dla przecenianych dotąd wpływów i domieszek niemieckich, więc może on odpowie oczekiwaniom? Niestety, prof. Tymieniecki gani Konopczyńskiemu, zbyt daleko w przeszłość sięgające diagnozy zła w ustroju społecznym i państwowym, więc czyż można spodziewać się po nim takiej rewizji, któraby potępiła ducha wolności i równości i pomogła nam się oderwać od ideologii Wielkiej Rewolucji?

Słowem, od westchnień publicystycznych do naukowego rewizjonizmu daleka droga. Można dla celów wychowawczych akcentować w specjalnej literaturze te lub owe momenty i motory dziejów, jak to czynił Chołoniewski, albo jak czyni J. Giertych; można naśladować próbki utalentowanych francuskich publicystów-rewizorów historii: Bertranda, Gaxotte'a, Bainville'a; można napisać całą „Gdybologię" o tem, jak pięknie rozwinęłaby się nasza przeszłość pod rządem 40 królów czy pod rządem 40 narodowych elit. Ale to wszystko głównej, skonsolidowanej przez dziejopisów nagromadzonej prawdy nie odmieni, i z przedmiotowem szukaniem dalszych prawd nie będzie miało nic wspólnego. Choćby ci młodsi, do których p. Kozicki apeluje, sięgnęli po środki wybuchowe do Olgierda Górki, a po hasła antyliberalne „dla swoich celów" do Szujskiego i Kalinki, to jednak upragnionej rewolucji w poglądach na przeszłość nie osiągną. Zbyt wiele już wiemy o swych ojcach i praojcach, by można było cały gmach wiedzy historycznej przewracać co pokolenie z boku na bok, albo stawiać do góry nogami.

Nauka historyczna ścisłością i trwałością rezultatów nie może się równać z matematyką czy chemią, ma jednak swoją statyczność i dąży do naturalnej równowagi. Gdy napotyka antytezy, przerabia je wnet na syntezy; jej ideałem zawsze będzie prawda, a nie użyteczność. P. Kozicki z pewnością to uznaje, to też dalecy jesteśmy od przypisywania mu negatywnego, *quasi* bolszewickiego stosunku do poglądów, jakie wypracowała dawniejsza myśl polska. Niemniej hasła przewrotu i rewolucji, rzucane w stronę młodych, mogą wywoływać zamęt wśród nieczytelników literatury naukowej; dlatego powyższa riposta wydała się nam potrzebną.

Ale oprócz riposty przyda się jeszcze rada.

Czas upływa, włosy siwieją. Prędzej czy później przejdziemy, — jedni do historii inni w zapomnienie. Siły przeciwne obozowi narodowemu okazują dużo zmysłu do historii. Opanowały archiwa, wydają pisma, zakładają instytuty, przenikają do towarzystw. Maluczko, a udowodnią, że obóz narodowy nigdy nie pragnął nietylko niepodległości, ale nawet zjednoczenia; że to on ściągnął na Polskę i zamach listopadowy i przewrót majowy; on ją później zubożył i zniewolił. Jeśli chcemy uwolnić jutrzejszych „młodych" od konieczności prostowania faktów, jakie o nas napiszą nasi najserdeczniejsi, jeżeli nie chcemy za lat 30 wyglądać jak „czciciele szatana", to czy nie lepiej, zamiast tępić w historiografii naszej odgłosy humanitaryzmu, zatroszczyć się o przekazanie potomnym wiernego obrazu tego, cośmy przeżyli i przeżywamy w dalszym ciągu?

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

NA WIDOWNI

W dwudziestą rocznicę rewolucji rosyjskiej — wspomnienie naocznego świadka.

DWADZIEŚCIA lat minęło od wybuchu rewolucji marcowej w imperium rosyjskiem. W dziejach wojny, zwłaszcza dla Polski, był to epizod bardzo ważny, dla mnie tem pamiętniejszy, że przebywałem wtedy w Petersburgu i patrzyłem na rozwój wypadków do pierwszych dni stycznia 1918 r. W pamięci został z tych lat „koszmar", do którego niechętnie się powraca, zwłaszcza do tej drugiej rewolucji bolszewickiej w październiku 1917. Trzeba zaglądać do notatek, aby sobie przypomnieć kolejność wypadków tak stłoczonych.

Odnajduję w notesie kartkę, rozpoczynającą się od słów:

„Wtorek 20 lutego (13 marca) 1917 r. w Piotrogrodzie. Spisuję po krótce daty lat ostatnich. Kto wie, co będzie jutro. Dokoła domu (*Saperny/ pereułok 10*) strzelanina cały dzień. Rewolucja opanowała stolicę. Siedzimy w domu bezczynnie w oczekiwaniu, co jutro przyniesie".

Dalej następuje opis wypadków od r. 1914, przerwany na r. 1916. Nie było dotąd czasu na oglądanie się poza siebie; teraz automatycznie, gdy przed jutrem stanęła jakaś ściana, zrodziła się potrzeba uprzytomnienia tego, co było.

Nazajutrz z samego rana — pamiętam — zdjęty ciekawością, jak wygląda Petersburg bez cara, wyszedłem na miasto. Było jakoś pusto. Tu i owdzie widziałem na drabinach ludzi, odrywających orły cesarskie nad drzwiami urzędów. Nikt się temu nie przypatrywał, jakby nie zdawano sobie sprawy z tego, co zaszło. Na sąsiedniej ulicy przed jednym z domów zatrzymała mnie głośna rozmowa żydów w pięknych futrach. Czekali, bo właśnie jakieś nowe władze poszły na górę, aby aresztować podprokuratora. To był, jak cieszyli się, ten który brał udział w procesie Bajlisa.

Nie opisuję przebiegu dalszych wydarzeń, bo znane są już z historii [1]).

— — — — — — — — — — — —

Do notesu swojego wróciłem 31 października 1917 r. Znowu była chwila czasu i potrzeba pisania — bo był to wybuch nowej rewolucji, już bolszewickiej. Pisałem wtedy:

„W końcu lutego 1917 r. wybuchła w Pietrogradzie rewolucja. Moment to był ważny nie tylko w życiu osobistem, które tutaj notuję. Aczkolwiek Polacy, a zwłaszcza Komitet Narodowy, jako reprezentacja Polski, czuli swoją eksterytorialność, to jednak faktycznie byliśmy igraszką na fali rosyjskiej. Sprawa polska przez Rosję traktowana była jako wewnętrzna, a dyplomacja koalicyjna, nie chcąc się Rosji narażać, w tym poglądzie ją podtrzymywała. Losy rewolucji, Rosji wogóle i związanej z nią w ten sposób Polski nie były łatwe do przewidzenia...

„Rewolucja, jako strącenie caratu, powiodła się zbyt łatwo. Rosjanie sami się zlękli swojego czynu, nie rozumiejąc dobrze, skąd się to stało. Główne niebezpieczeństwo w tem tkwiło, że nie widać było w Rosji żywiołu, któryby gwarantował jakieś oparcie; żadnego punktu trwałego, żadnej mocy przezwyciężenia bezwładu. Wszystko od góry do dołu słabe i przelęknione, żadnej warstwy, któraby poczuwała się do odpowiedzialności".

„Najmniej zaufania budziła we mnie inteligencja z Kadetami. Oni przecież zrobili rewolucję, sami sobie z tego sprawy nie zdając. Zrobili ją w Dumie, osaczając rząd systematyczną krytyką, w celu spowodowania conajwyżej pewnych reform. Sojusznicy z koalicji wojennej (niektórzy), popierając tę akcję, dali dowód, że nie orientują się w naturze stosunków, nie przewidywali i nie chcieli takiego przewrotu. Nie uwzględniono, że Rosja jest budowlą drewnianą, tem słabszą, że nadmiernych rozmiarów, ale bądź co bądź barakiem państwowym, kunsztownie przez inżynierów niemieckich ciesiołką rosyjską skonstruowanym, że ta budowla już podczas wojny japońskiej się nadwątliła, że wreszcie po trzech latach Wielkiej Wojny, obliczonej na wytrzymałość angielską, nie sprosta ciśnieniu.

Takie organizmy, jak Rosja, mogą się zdobyć na czyny doraźne, wymagające krótkiego oddechu. Społeczeństwo, nie zdolne wziąć wojny na siebie, zdaje losy na wojsko. Naród rosyjski nie jest ciałem moralnie zorganizowanym. Carat trzymał się pozornie mocno, ale już bladł, tracił patos, którym się trzymał. Coraz częściej podejrzewano go o tajemne próby zawarcia pokoju (Stuermer, Protopopow). Krytyka stawała się coraz niemiłościwsza w miarę jak odczuwano spadek dawnego tonu na dworze. Dokonany zamach na Rasputina pozbawił dwór ostatecznie powagi, bo się pokazało, że można już bezkarnie polować w Domu Romanowów, strzelając zwierzynę pod ich nogami. Dom carski nie miał już żadnego oparcia i jak przejrzały owoc spadł na ziemię".

„Nasz Więckowski (Aleksander), socjalista, dawniej współpracownik „Głosu", wpadł do Dumy i wołał:

— Władza leży na ziemi, bierzcie ją!

„Nie wiedziano jednak, co dalej robić. Przestraszono się swego czynu i zwalono dalszy ciąg na wojsko i na lud uliczny. Zabrakło odwagi wziąć na siebie odpowiedzialność ze strachu już nie przed policjantem, ale przed historią.

„Tego tylko było potrzeba agitatorom ludowym; „lud" począł potrochu wierzyć, że rewolucja jest jego dziełem. Kiedy poznał, jak to smakuje, kiedy znalazł się siłą faktu u steru i w posiadaniu masy pieniędzy, nie dał już potem wyperswadować tego sobie. Z rewolucji uczyniono stałą instytucję. Z początku miały jakiś wpływ sfery kulturalne, nawet prawicowe (jak Guczkow), kadeci (Milukow, Lwow), ale szybko odstępowały one od licytacji demagogicznej. Przy ministrze Guczkowie wszedł w życie rozkaz wojskowy Nr. 1, przy ministrze spraw zagranicznych Milukowie przepuszczono z Niemiec Lenina i towarzyszy"...

Dalszy ciąg wiadomy. Kubek w kubek to samo przestudiowaliśmy na dziejach Hiszpanii, z tą jednak otuchą patrząc teraz w przyszłość

[1]) Ob. t. I dzieła Seydy: „Polska na przełomie dziejów", rocznik „Sprawy Polskiej", który redagowałem do końca 1917 r., książki moje „Sprawa Lednickiego", „Na wschodnim posterunku".

cywilizacji zachodniej, że tu znalazł się Alkazar. Tam go nie było.

— — — — — — — — — — — —

Co Polacy mieli do zrobienia w tych warunkach? To, o co chodziło im od początku, mianowicie wydobyć od Rosji takiej czy innej oficjalne zrzeczenie się opieki nad Polską, zdobyć akt, którego nie śmiała dotąd zażądać od Rosji dyplomacja koalicji, aby nie wywołać konfliktu. Czekał na tę sposobnpść Komitet Narodowy, rezydujący w Petersburgu, do którego należeli dotychczasowi posłowie do Dumy. W tym momencie jednak, tak krytycznym, wynikł gorszący zatarg z reprezentacją stałej kolonii polskiej w Rosji, a był nią Komitet Demokratyczny (z orientacją proniemiecką) pod przewodnictwem A. Lednickiego). Grupa ta, typu kadecko - socjalistycznego, pozostawała w ścisłych stosunkach z ludźmi w rządzie rosyjskim i nie krępując się względami polskiej racji stanu, w prasie swojej i w wystąpieniach publicznych zaprzeczyła Komitetowi Narodowemu prawa reprezentowania interesów Polski — Lednicki brał je na siebie. Motywowano rzecz demagogicznie, wmawiając władzom i komitetom ludowym, że my z kraju jesteśmy wrogami ludu, wrogami rewolucji, jako sprzymierzeńcy cara. Lednicki, jak się okazało z mojego z nim procesu (1924) działał w tym kierunku, aby Rosja nie wypuszczała z ręki atutu sprawy polskiej.

Wracam do pamiętnika:

„Lednicki, mający stałe stosunki z Rządem tymczasowym (ks. Lwowa) na parę dni przed ogłoszeniem historycznego aktu w sprawie polskiej w marcu 1917 r., odwiódł Wielopolskiego (prezesa Komitetu Narodowego) od zamiaru, aby Komitet wszedł w kontakt z rządem, zapewniając, że pogłoski o akcie tym są bezpodstawne, że będzie czas za parę dni na tę wizytę. Robił to dlatego, że wiedział, iż akt jest postanowiony. Ks. Lwow potem się tłumaczył, że był przekonany, iż Lednicki działa z ramienia Komitetu, bo za jego rzecznika się podawał, dlatego nie zwracał się do Wielopolskiego. Stosunek Komitetu Nar. z rządem wskutek tego nie był należycie wyzyskany.

„Lednicki dawał potem do myślenia, że on jest sprawcą owego aktu. Tymczasem sprawa miała się inaczej. Nie była ona inicjatywą ani jego, ani nawet Rządą Tymczasowego. Wyszło na jaw później, że nacisk w tym kierunku wywarł Dmowski w Londynie. Balfour zrozumiał konieczność niezwłocznego aktu w sprawie polskie- ze strony Rosji[2]), Balfour parokrotnie przynaglał do tego Milukowa (min. spraw zagr.) za pośrednictwem amb. Buchanana. Pod tym naciskiem rząd tymczasowy uległ i w ciągu dwu dni (o które tak chodziło Lednickiemu) akt podpisał. Rada żołnierska umyślnie była zwołana na dzień naprzód i odpowiednio zainspirowana, aby swojem wystąpieniem („wola ludu") Milukowa przed opinią rewolucji zabezpieczyła".

Ogłoszona 30 marca przez Rząd Tymczasowy Rosji proklamacja do narodu opowiedziała się za zjednoczeniem i niepodległością narodu polskiego. Była to data, odkąd sprawa polska wypłynąć mogła na forum obrad polityki międzynarodowej; odtąd Komitet Narodowy (w Paryżu zorganizowany) mógł być uznany za urzędowe przedstawicielstwo Polski. Dlatego tyle miejsca poświęciłem okolicznościom tego epizodu; był to początek naszego politycznego odrodzenia.

— — — — — — — — — — — —

Pamiętam żywo ten dzień, gdy nazajutrz Komitet Narodowy wraz z przedstawicielami Komitetu Demokratycznego, ze ś. p. ks. biskupem Cieplakiem na czele udał się do ks. Lwowa, aby oficjalnie wyrazić mu w imieniu Polaków radość z tak pomyślnego obrotu sprawy, realizującego ideał wolności, w imię której walczy Rosja rewolucyjna...

O niczem wtedy nie mówiło się tylko o ideałach wolności, a drugie hasło było: wojna do końca! Wiemy z historii tych czasów, w co się obróciła ta wolność i ta gotowość wojny. Wschodziła gwiazda Polski, zachodziła za gęstą chmurę gwiazda narodu rosyjskiego. Polacy, jako sojusznicy Rosji w tej wielkiej wojnie, patrząc z blizka na jej stopniowy rozkład, ulegali silnym perturbacjom psychicznym, ale bodaj najmniejsza w tem doza była satysfakcji moralnej, płynącej z zadawnionych uraz. Przedewszystkiem wiele się uczyli na tym przykładzie.

Stawało się dla wszystkich (oprócz t. zw. demokratów, którzy z psychiką rosyjską byli zespoleni) rzeczą jasną, że Rosja chyli się do upadku z tego powodu, że wszystko, co było jej mocą, zawdzięczała budowie państwowej. Naród nie był zorganizowany moralnie. Po paru miesiącach „wolności", rozległy się już w prasie rosyjskiej wołania: „Stoimy nad przepaścią!" A na to jeden z największych pisarzy napisał: — „Nie na brzegu jesteśmy, to jest właśnie dno przepaści".

Gdy tak głosy rozpaczy mieszały się z chichotem radosnej wolności burzenia, Polacy zrozumieli, ile warta jest ta siła moralna, która ich z tradycji i z aspiracji pomimo braku więzi państwowej utrzymuje w postawie narodu historycznego, idącego w przyszłość z nadzieją i wiarą. Nie imała się tych rzesz milionowych zaraza, owszem rosło samopoczucie odrębności i dumy narodowej. Wrócili do kraju z tej lekcji poglądowej mądrzejsi politycznie, niż ci rodacy, którzy wkraczali do Polski gotowej z krainy symbolów politycznych i legendy. Stąd tak niepewne było u tych ludzi poczucie narodu jako rzeczywistości.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[2]) Porówn. M. Seydy dzieło: „Polska na przełomie dziejów". T. I, str. 502.

GŁOSY

DEKOMPOZYCJA Z. Z. Z.

Już to trzeba przyznać, że pana pułkownika Miedzińskiego określenie sytuacji w obozie rządowym słowem „dekompozycja" spopularyzowało się w sposób zapewne dla autora zgoła nieoczekiwany... Sądzimy, że przejdzie ono do historii obok dwóch innych słów oznaczających kolejne etapy rządów sanacyjnych: pierwszy dość śmiały „radosnej twórczości", drugi pełen niepewności maskowanej powiedzeniem „byczo jest", no i ten trzeci, którego trudno, zaiste, było lepiej, dosadniej scharakteryzować.

Mimo prób stworzenia Obozu Zjednoczenia Narodowego, dekompozycja postępuje dalej. Oto mamy przed sobą widowisko nielada: rozłam za rozłamem w sanacyjnym Z. Z, Z.

Nie będziemy się w tej chwili zajmowali historią owej robotniczej organizacji, dawnej komórki B. B. W. R., trzeba tylko przypomnieć, że została ona wykrojona nożem (oczywiście w przenośni) pana Jędrzeja Moraczewskiego z żywego ciała P. P. S'u i że została powiększona wskutek nacisku zarówno władz administracyjnych, jak i poszczególnych fabryk uzależnionych finansowo od państwa. Wszystko to sprawiło, iż Związek Związków Zawodowych grupował w sobie elementy o rozmaitym podkładzie ideowym, których zadaniem było milczeć lub potakiwać. Sankcję stanowiła groza utracenia pracy.

Dzisiaj, gdy znajdujemy się w okresie pogmatwania stosunków w obozie prorządowym, odkryło się prawdziwe oblicze sanacyjnej organizacji robotniczej tej o której „Jutro Pracy" pisało z dużą dozą dobrej woli, iż grupowała „...te elementy w ruchu robotniczym, któremu inne organizacje nie dawały wyraźnej odpowiedzi na sprawę Państwa Polskiego". Wprawdzie pismo zaznacza, że „...nie chcemy przez to bynajmniej odmawiać patriotyzmu innym organizacjom robotniczym. Niemniej jednak negatywna postawa do Piłsudskiego nie była dostateczną sprawą dla klasy robotniczej". Nie będziemy w tej chwili dyskutowali — wskażemy tylko na ostatnie wybory łódzkie i stosunek głosów padłych na listę Obozu Narodowego, oraz tę, której podporą był właśnie Z. Z. Z. Zgodzimy się na jedno, a mianowicie, że „Przywódcy zapomnieli o zasadniczych założeniach ideowych, na których był zbudowany Z. Z. Z. Niesprawiedliwie przykrą nad wyraz niespodzianką jest, jeśli przywódcy, czyli ktoś, kogo się największym obdarzało zaufaniem i desygnowało na kierowników mających prowadzić rzesze po linii patriotyzmu, poczynają obecnie zdradzać ciągotki wyraźnie międzynarodowe, powiedzmy otwarcie — bolszewickie. Zgodzimy się również, że „Uchwały radomskiego kongresu P. P. S. są niesłychanie blade w porównaniu z treścią artykułów „Frontu Robotniczego", czy też uchwałami centrali Z. Z. Z. Anarchosyndykalizm jako treść ideowa dla odróżnienia od socjalizmu, czy komunizmu, czarno-czerwony sztandar, jako bardziej radykalny symbol od czerwonego, pozdrowienia dla Madrytu — jakież to wszystko dalekie i odmienne od sformułowań statutu Z. Z. Z., w którym w jednym z pierwszych paragrafów tak pięknie powiedziano o potrzebie zespolenia ruchu robotniczego z Państwem Polskim". Rzeczywiście — jakie dalekie!...

I posypały się odłamy. Jeśli są one przejawem zdrowej, na narodowym instykcie opartej reakcji, to cieszymy się bardzo, jeśli podłożem rozłamów jest jednak oportunizm, radość nasza pierzchnie odrazu. Chciejmy jednak mieć dobrą wolę, cóż, gdy słusznie w „Słowie" wileńskim zapowiada p. Cat-Mackiewicz, iż w odłamanym właśnie ostatnio Związku Górników „dokładnie w ciągu kilku dni diametralnie zmienili swoje entuzjazmy". Biedacy — przyzwyczajeni do entuzjazmów nakazywanych z góry, podnoszenie pięści zaciśniętych oraz telegram z pozdrowieniem dla czerwonego Madrytu wzięli właśnie za... nakaz góry, bo to przecież przywódcy... Fatalna pomyłka! Więc rozłamy. Aż prawie tyle ich co akcesów do OZON'u: i okręg naftowy i okręg gdyński i okręg toruński i okręg łódzki, a ostatnio ci górnicy. Może jeszcze nie koniec?

„Łamańce ideowe Z. Z. Z. — kończy swój artykuł „Jutro Pracy" — doprowadziły go do upadku. Dziś jesteśmy świadkami upadku powagi organizacji robotniczej. Miast szukać linii ideowej w duchu polskiego robotnika, Z. Z. Z. czerpał natchnienie we wzorach obcych".

Skorygujmy: nie dziś dopiero jesteśmy świadkami upadku powagi tej organizacji, a po drugie — po dziesięciu latach pracy państwowotwórczej, pracy co to miała najpełniej odpowiadać na temat stosunku do Państwa Polskiego, to doprawdy — zjawisko niebywałe. Nie poraz pierwszy, zresztą, wychowankowie kształceni pod czułem okiem sfer oficjalnych opowiadają się za czerwonym sztandarem. Przyjrzyjmy się tylko Komendzie Głównej „Legionu Młodych" podczas obchodów pierwszomajowych. Cóż — urabiało się umysły przeciw nacjonalizmowi, więc trudno się dzisiaj dziwić i rozpaczać i złorzeczyć. Wiatr siano to burzę zebrano. Całe szczęście, że w przysłowiowej szklance wody — nigdy bowiem sanacja nie miała mocnego oparcia w masach robotniczych.

NAUKA i LITERATURA

POGLĄDY POLITYCZNO-SPOŁECZNE ST. ŻEROMSKIEGO

SKRZĘTNY biograf oraz badacz twórczości Stefana Żeromskiego, autor między innemi cennej pracy dotyczącej lat jego młodości (1864 — 1899), Stanisław Piołun-Noyszewski, ogłosił świeżo rozprawę, poświęconą tym razem poglądom polityczno-społecznym twórcy „Popiołów". („Zarys myśli polityczno-społecznej Stefana Żeromskiego". Warszawa 1937. Wydawnictwo „Biblioteki Polskiej", str. 93).

W rozwoju myśli polityczno-społecznej Żeromskiego, który zresztą nie przechodził w tej mierze przez gwałtowne załamania i przewroty, wyróżnia autor trzy okresy o granicach dość trudno uchwytnych.

W pierwszym okresie, który obejmuje czasy mniej więcej od 1887—1897 r., t. do chwili osiedlenia się na dłużej w Warszawie, wyznaje Żeromski zasady ideologii narodowo-niepodległościowej, kładąc szczególniejszy nacisk na pozyskanie dla sprawy niepodległości warstwy ludowej, przez jej podniesienie i uświadomienie. W tym czasie pozostaje on przez szereg lat w bliskich stosunkach z „Głosem", założonym w 1886 r., słowem z pismem, którego program narodowy opierał się na zasadzie „ludowości".

Gdy idea niepodległości Polski ugruntowała się w programie P. P. S., Żeromski przechyla się powoli w stronę tej partii i pozostaje jej „sympatykiem" w czasie od 1897—1909

roku, który jest drugą z kolei fazą jego przeżyć polityczno-społecznych. Trzeci okres, trwający najdłużej (od 1909 roku do końca życia), zresztą składający się z wielu momentów przejściowych, nazywa autor okresem „nacjonalizmu niezależnego".

W tym czasie odsuwa się Żeromski od socjalizmu, z początku wskutek przygnębiającego rozczarowania, co do ludzi, haseł partyjnych oraz czynów; następnie—już podczas w. wojny—z powodu zajęcia biegunowo odmiennej od socjalistów orientacji politycznej, wreszcie dla tego, że jego ideał Polski niepodległej rozsadzał ramy i programy wszelkich istniejących stronnictw politycznych.

Poglądom swoim polityczno-społecznym dawał Żeromski wyraz przedewszystkiem w utworach beletrystycznych, rzadziej w rozprawach publicystycznych, w okresie zaś w. wojny wypadło mu parokrotnie stwierdzić je odpowiednią działalnością.

Z powyższych źródeł zaczerpnął p. St. Noyszewski materiał dowodowy, którym się posługiwał w swojem przedstawieniu ewolucji myśli polityczno-społecznej Żeromskiego.

Z niego okazuje się, iż Żeromski nigdy nie był „szczególnie napełniony doktrynami Marxa" — jak ktoś ze znajomych jego z czasów szkolnych o nim się wyraził;—że dusza jego nie była „zawsze" z socjalistami, jak utrzymywał jeden z filarów P. P. S., i że jedyną niezmienną zasadą w jego poglądach polityczno-społecznych, ich naczelnym motywem przewodnim, była od początku do końca idea niepodległości Polski.

Pod tym względem w psychice Żeromskiego w istocie nie było żadnych gwałtownych przewrotów lub ekspiacyj. Psychika jego wszakże bardzo była skłonna do gwałtów i wstrząsów rozmaitych, do bezpośrednich i namiętnych reakcyj na innych myśli oraz czyny. Stąd więc np., chociaż w gruncie rzeczy nie wyznawał marksowskiej doktryny walki klas, nie raz tak się namiętnie wypowiadał, przejęty krzywdą społeczną warstw upośledzonych, jakby był jej zwolennikiem.

Tak było między innemi, gdy Żeromski pisał swoje „Słowo o bandosie" (autor pomija zupełnie tę rozprawę), rzecz pełną urazy i nienawiści klasowej (także i demagogii), słowem niezgodną ze szlachetnością jego istoty duchowej. Podobne rozdźwięki tłumaczą się, jak mniemamy, jednostronnością i gwałtownością jego afektów.

W ostatnim okresie ideowym Żeromskiego ustępuje z jego duszy powyższa jednostronna zawziętość, zgodzić się więc można z tem, co autor powiada na końcu swej książki, mianowicie że „ciągła dbałość o Polskę nietylko dobrą i wciąż lepszą, ale najlepszą, nie przestaje Żeromskiemu przyświecać do śmierci i jest mistrzynią każdego słowa, które po odzyskaniu niepodległości napisał".

W. J.

RUCH WYDAWNICZY

Nakładem Wydawnictwa Polskiego R. Wegnera Sp. z o. o. w Poznaniu ukazały się „Dzieje Papieży od początków Kościoła do czasów dzisiejszych". Opracowali je: dr. Fr. Ksaw. Seppelt i dr. Klemens Löffler. Uzupełnił do rzeczy polskich dr. Tadeusz Silnicki, prof. uniw. poznańskiego.

Wspaniałe wydawnictwo, przynoszące chlubę firmie nakładowej R. Wegnera.

Dzieło Seppelta i Löfflera jest jedynem w tym zakresie w literaturze naukowo-popularnej na całym świecie, przyczem napisane jest tak, że czyta się je jak epos historyczny z niesłabnącem zainteresowaniem.

Wydanie polskie tej książki różni się pod wielu względami od wydania niemieckiego. Więc przedewszystkiem dość pobieżne omówienie przez autorów niemieckich stosunku papieży do Polski, znalazło uzupełnienie, rozszerzenie i pogłębienie, którego dokonał profesor prawa kościelnego na U. P. dr. Tadeusz Silnicki (odnośne uzupełnienia wydrukowane w książce kursywą).

Następnie zaś wydanie polskie „Dziejów Papieży" różni się zasadniczo od wydania niemieckiego w całym układzie graficznym, w doborze i wykonaniu ilustracji. Papier piękny druk wzorowy.

Wreszcie należy podnieść jeszcze jeden szczegół w polskiem wydaniu omawianego dzieła. Mianowicie dla ułatwienia orientacji czytelnika umieszczono na początku katalog papieży w układzie chronologicznym z danemi biograficznemi i wizerunkami (266) zaopatrując go także w podobizny ich herbów, pieczęci i monet.

Ogółem zawarto w tym okazałym, 712 stron liczącym tomie, 968 przepysznych ilustracyj, w tem 21 kolorowych, przedstawiających szaty Ojca św., kardynałów, biskupów i różnych urzędników Watykanu.

Strona graficzna i ilustracyjna wydania polskiego — przewyższa bezwarunkowo, wydanie oryginału niemieckiego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Książkę na tematy polskie p. t. „*Pologne Romantique*" (s. 224) ogłosił świeżo znany badacz żywota Balzac'a, Marcel Bouteron. Tę polskę romantyczną reprezentują ludzie z epoki walki o niepodległość 1830 roku, którym autor poświęca pełne zapału wspomnienia. Jest tu mowa o Maurycym Mochnackim, o Emilii Plater, o przygodach Emira Rzewuskiego, i pomniejszych rozbitkach 30 roku, jak np. o emigrantach w „zakładach" miast Besancon i Bergerac". Rzecz tę z przyjemnością czytać będą Francuzi i Polacy.

*

Inny entuzjasta Balzac'a, René Benjamin, ostatnią swoją książkę poświęcił ...Mussolini'emu (p. t. „*Mussolini et son peuple*", str. 260). Pobudką do napisania tej książki był fakt następujący: „ Pewnego wieczoru, w grudniu 1933 roku, w brzydkim zaułku Grenobli, horda zsyndykowanych nauczycieli, radców municypalnych oraz urzędników merostwa, usiłowała rozbić mi czaszkę, pod pretekstem, iż jestem „faszystą"... „Wyrwawszy się z ich łap, poczułem się szczęśliwym z powodu posiadania tytułu streszczającego odrazę, jaką żywię dla istot nienawiści oraz barbarzyństwa i ignorancji. Dla zwiększenia mej przyjemności pozostawało tylko poznać szczegóły uczynionego mi honoru. Postanowiłem więc tegoż wieczoru udać się do Włoch"... Owocem tej ostatniej wycieczki świetnego autora studjów o Balzac'u, Molierze itp. jest właśnie ta prześliczna książka o twórcy Włoch faszystowskich i jego narodzie, o której sam słusznie powiada, iż jest to „książka uwielbienia, książka miłości".

*

Innego rodzaju jest książka, którą zawdzięczamy uprzejmości warszawskiego Komitetu „Polonia — Italia", p. t. „*Ce que l'Italie doit Mussolini*" (autor Mario Missiroli, str. 313). Jest to książka propagandowa dająca dokładny, oparty na ścisłych faktach i cyfrach, obraz tego, co dokonał faszyzm od chwili dojścia do władzy aż do ostatnich wypadków, mianowicie utworzenia Imperium. (W. I.)

*

Zmarł jeden z najwybitniejszych poetów i dramaturgów starszego pokolenia angielskiego John Drinkwater. Urodzony w 1882 roku w Leytonstone w hrabstwie Essex rozpoczął swą twórczość już w 21 roku życia drukując to miłe „Poems". Przez 12 lat pracował w instytucjach ubezpieczeniowych poczem całkowicie poświęcił się literaturze. Bibliografia jego utworów obejmuje trzydzieści kilka tomików poezji, przeszło dwadzieścia sztuk teatralnych, kilkanaście tomów essayów i studjów historycznych, ośm tomów biografii historycznych, dwa tomy autobiografii i dwa tomy poezji dla dzieci. W 1907 roku wespół z innymi założył towarzystwo *the Pilgrim Players*, które po tym rozwinęło się w teatr Repertuarowy w Garmingham i na czele tego stanął w r. 1913, prowadząc jednocześnie rozległą działalność krytyczną w licznych dziennikach i periodykach.

W poezji reprezentował chłodny nieco klasycyzm, doskonałe opanowanie formy i ton elegijno-epicki. We współczesnym teatrze angielskim był najwybitniejszym przedstawicielem dramatu historycznego, zawdzięcza też swoją sławę głównie sztukom jak „Abraham Lincoln„ (1918), „Mary Stuart" (1921) i innym, które osiągnęły światowy rozgłos.

W poglądzie na świat reprezentując stanowisko surowej moralności i klasycznego opanowania, kult woli przejawiającej się w działaniu, upodobał sobie szczególnie postać apostoła — purytanizmu — Olivera Cromwella, który dał mu natchnienie do tomika poezji, dramatu i do najlepszej biografii. Z Drinkwaterem Anglia traci jeszcze jednego przedstawiciela pokolenia literackiego, które różniło się od obecnego posiadaniem mocnego i wyraźnego pionu moralnego i określonych jasno ideałów. (A. M.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY W ZACHĘCIE

Z POWODU przypadającej w tym roku 50-tej rocznicy twórczości malarskiej Aleksandra Augustynowicza, Zachęta urządziła zbiorową wystawę dzieł artysty.

Augustynowicz wystawiał w ostatnich czasach przeważnie prace akwarelowe, teraz przypomniał się szerszej publiczności szeregiem dawniejszych płócien olejnych — wszystko razem składa się na obraz wyraźnie przedstawiający upodobania i możliwości malarza. Urodzony w r. 1865 w Iskrzyni na podgórzu Karpackiem, pochodzi z rodziny ziemiańskiej. Na jego wykształcenie artystyczne złożyły się studia w Krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, u Matejki i Łuszczkiewicza, a potem (w 1888 r.) w Monachium, u znanego nauczyciela wielu Polaków, Holloszego. Po ukończeniu studiów osiada Augustynowicz we Lwowie, gdzie mieszka 24 lata. Od 1914 do 1921 roku przebywa w Zakopanem, potem przenosi się do Poznania i tam przebywa aż do dnia dzisiejszego. Z ważniejszych odznaczeń, które artysta uzyskał w ciągu swej długoletniej działalności, należy wymienić: złoty medal za „Autoportret" na międzynarodowej wystawie w Berlinie (1891 r.) (własność Muzeum Nar. w Krakowie), srebrny medal za portret panny Cz., na wystawie krajowej we Lwowie (1894 r.). Muzeum lwowskie posiada też jedną z lepszych prac artysty: „Portret dzieci".

Wykształcony w środowisku monachijskiem, którego wpływ dobitnie się zaznacza w wymienionym już portrecie panny Cz., może być uważany Augustynowicz za naturalistę. Natura tutaj, w stanie surowym, że się tak wyrażę, dostaje się bez jakichkolwiek interpretacyj na płaszczyznę obrazu.

Augustynowicz stara się być jej wiernym i jest wobec niej bezkrytyczny. Obraz, w jego ostatecznym wyglądzie, kształtuje tu nie jakieś pragnienie osobistej wizji, a poprostu suma nabytych wiadomości malarsko-rysowniczych. Jest to pewnego rodzaju bezpretensjonalność, która w w najszczęśliwszych wypadkach daje wyraz szczerości i dyskretnej prostoty, niepozbawionej niejakiego uroku, jak np. w obrazie: „Dzieci". Gdzieindziej, np. w portrecie Juliana Wieniawskiego (Jordan), Augustynowicz potrafi spostrzedz i zanotować naturalną pozę i niewymuszony gest modela. Akwarelowe obrazy o charakterze rodzajowym są właściwie odmianą portretu, studium portretowem, już nie indywidualnej jednostki w tym wypadku, a typu.

Obok tych cech sztuki Augustynowicza, zanotować wypadnie jego absolutną obojętność na wszystko, co z zestawień koloru wynika. Beztroska wobec koloru staje się tembardziej ryzykowna, iż malarz bynajmniej nie unika barw żywych, lub nawet zgoła jaskrawych. „Kolorowość", tylko w ten sposób pojęta, lekce sobie waży współżycie barw na obrazie i zasadniczą rolę działania barwy w zespole. Kiedyś wpadł mi w ręce rosyjski podręcznik do malowania pastelami. Trudność namalowania barwy ust rozwiązał bezapelacyjnie autor podręcznika następującem zdaniem: „usta zwykle maluje się czerwoną farbą"...

Filozofia kolorystyczna Augustynowicza nie jest bardziej skomplikowana od tego aforyzmu.

— — — — — — — — — — — —

Wstęp do katalogu prac Augustynowicza nanapisał Wiktor Bunikiewicz. Bunikiewicz należy do tego rodzaju wielbicieli sztuki artysty, o których się zwykło mówić: „a chroń mnie Panie Boże od takich przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę."

*

Mamy także w Zachęcie gościa: bułgarskiego artystę, p. Aleksandra Dobrinowa. Protektorat nad jego wystawą objął p. poseł Bułgarji, on i jego najbliższe otoczenie pomogło też zapewne artyście w wyszukaniu pierwszych modeli do karykatur (p. Dobrinow jest karykaturzystą). Plon ostateczny - 144 karykatury.

Między skarykaturowanymi widzimy sporo dyplomacji, trochę arystokracji i paru ministrów. Powodzenie tedy murowane, droga do kariery otwarta. Czy jest bowiem radca M. S. Z., któryby nie chciał uchodzić za dyplomatę, czy jest „sfera towarzyska", wroga niewinnym marzeniom o przynależności do arystokratycznej *society?* Każdy pragnie być sportretowany przez karykaturzystę ministrów i hrabiów. Życząc p. Dobrinowi powodzenia, zajmijmy się tymczasem jego sztuką.

Sztuka karykatury, oparta na umiejętności wyostrzonego widzenia i umiejętności sporządzania błyskawicznych notatek interpretacyjnych, wymaga koordynacji oka i ręki. P. Dobrinow umie dostrzedz najistotniejsze cechy modela, umie nieraz trafnie scharakteryzować twarz, zdawałoby się nijaką i trudną jako materiał dla karykaturzysty, gorzej natomiast przedstawia się sprawa ze sposobem rysowania. Styl rysunkowy p. Dobrinowa jest zbyt kaligraficzny, zbyt oparty na zręczności raznazawsze naumianych esów-floresów, które, po ich opanowaniu, zbyt łatwo się udają. Jest to jedno z niebezpieczeństw, grożących zawsze karykaturzyście, gdyż jego zawód skłania go do szybkości i zręczności. A przecież chciałoby się, by świeżości i przenikliwości spojrzenia towarzyszyła tu zawsze świeżość na j e d e n r a z użytej, zawsze nowej i żywej, nie schematycznej kreski rysunkowej. Linii tak samo czujnej wobec kształtu, jak czujnem jest wobec niego oko artysty,

Być może nawał zamówień, chęć podołania wszystkim, nie pozwala p. Dobrinowowi pracować dalej nad sobą, szkoda by było, gdyby nie chciał, czy nie mógł, rozwinąć swych przyrodzonych zdolności, pracą nad pogłębieniem kultury rysunku.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„HORSZTYŃSKI"

WYSTAWIENIE dramatu Słowackiego to chyba pierwszy w tym sezonie szczęśliwy pomysł teatru Narodowego. „Horsztyński", to utwór nie ograny tak jak „Jowialski", czy „Skąpiec", których wystawia się w tradycyjnem poprawnie realistycznem ujęciu, a jednocześnie pełen czysto scenicznych wartości, żywy i mocny. Swą treścią ideową, mimo romantycznego pesymizmu zawsze aktualną, zasługuje na wprowadzenie na stałe do t. zw. „żelaznego repertuaru".

Problem wystawienia „Horsztyńskiego" to problem przedewszystkiem koncepcji—scalenia utworu zdefektowane-

go w oryginale i niedokończonego, a także scalenia, ujednolicenia mocno fragmentarycznej kompozycji samego autora. Słowacki przejawił tu wielkie wyczucie sceny i poszczególne epizody mają potężną wymowę dramatyczną. Nici jednakże wiążące te epizody w ciągłość są czasem bardzo słabe, bo dramat jak wóz rakietowy posuwa się na przód wybuchami.

Zelwerowicz w swej reżyserii ujął rzecz realistycznie, może nawet zbyt realistycznie, odejmując utworowi sporo piękna poezji tak charakterystycznej dla Słowackiego. Należy się mocno zastrzedz przeciwko takiemu ibsenowskiemu stylowi w dramacie romantycznym, który jeśli dodać jeszcze modną u nas „stanisławszczyznę” w grze aktorów, traci swoistą lekkość, czar fantazji i wspaniały rytm słowa. Rytm to w prozie jeszcze subtelniejszy niż w poezji, a tu zatracany w ekspresjonistycznych zachłystach i w dorabianiu balastu treści mimicznej, która pojawia się kosztem obcięć w tekście.

Tekst spreparowano nie na drodze kondensacji, lecz przez uproszczenie bujności kompozycji dramatu i skreślenie całych motywów. W ten sposób postać Karła jest ograniczona tylko do krótkiej sceny w pierwszym akcie, a Ksiński mocno uproszczony. Nie postąpiono jednak konsekwentnie pozostawiając Sforkę i całą scenę z jego pytaniami „łatwemi do zadania, ale trudnemi do rozwiązania”. Karzeł, Ksiński i Sforka stanowią całość jako tło Hetmana i wzajemnie się dopełniają. Oczywiście oszczędzanie sceny groteskowej spowodowane zostało modną u nas polityką epatowania publiczności przez błazeństwa; Zelwerowicz i Łapiński wyczyniają cudeńka i dostają oklaski przy podniesionej kurtynie za „brawurową grę” jak to się u nas nazywa, ale zarówno z punktu widzenia koncepcji formalnej jak i treściowej scena się nie tłumaczy w przedstawieniu stanowiąc oderwany epizod wtrącony. Miałbym też zastrzeżenia przeciwko ograniczeniu wysoce dramatycznej sceny z duchem Hetmana, który przebiega tylko pędem przez scenę i widz nie bardzo czuje ze Szczęsnym grozę tego zjawiska.

Zakończenie tradycyjnie, — po hamletowsku skomponowano tragiczne, niszcząc wszystkich bohaterów i pozostawiając na polu Jasińskiego jako Fortynbrasa, który nie może wygłosić pochwały Szczęsnego-Hamleta, bo wogóle się nie pojawia na scenie. Istnieje jednak w podaniu jako rozwiązanie wątka patriotycznego.

Wystawiono utwór z pietyzmem, dając doskonałą obsadę aktorską. Horsztyńskiego grał Solski, Hetmana — Węgrzyn, Sforkę—Zelwerowicz, Karła—Stanisławski, Ojca Prokopa—Brydziński. O tych pisać nie trzeba. Zawiódł nieco Wyrzykowski, zbyt młody i mało pogłębiony jak na Hamleta, zresztą szczery i szlachetny w geście. W roli Salomei znowu zatriumfowała Barszczewska głęboko i ze znakomitym umiarem pojąwszy swe zadanie.

FR. O.

FILM

APOLLO: „Dyplomatyczna żona”.

Pośród filmów produkcji krajowej, wyświetlanych w tym roku na ekranach kin warszawskich, wyróżnia się „Dyplomatyczna żona” b. dobrze rozbudowanym i opracowanym scenariuszem. Starczyło go — co nie często się zdarza — na całość filmu, wątek treści snuje się aż do końca i w zakończeniu zręcznem salto rozwiązuje węzeł komediowy. Początek i koniec, najlepiej pomyślane pod względem inscenizacyjnym, posiadają też najżywszą treść plastyczną. Rozpoczynając i kończąc film jednakiem umiejscowieniem akcji (na peronie i w pociągu), podkreślono walory kompozycyjne utworu. Naruszają natomiast kompozycję całości przydługie wstawki wokalne i taneczne, może nawet nietyle przydługie, ile źle rozwiązane i podane nieciekawie.

Kulisy, teatr—to wdzięczny materiał plastyczny dla operatora (fotografa) filmowego; umiejętna sztuka fotograficzna potrafi wydzielić i zmontować z takiej rzeczywistości widzialnej żywe interesujące filmowo obrazy. Niestety, tutaj nie poradzono sobie z fotografią tańca, zwłaszcza zespołowego, to też należało ograniczyć się do pokazania popisu solistki, Lody Halamy w wyrazistym kujawiaku. Słusznie zwraca uwagę operator na wymowę nóg tanecznicy, natomiast zupełnie niesłusznie i niepotrzebnie zatrzymuje oko objektywu na śpiewaczce przez cały czas jej występu. Te fragmenty popisów śpiewaczych, już z natury rzeczy istocie filmu dalekie, winny być zrównoważone, w czasie ich trwania, odpowiednią dawką treści wizualnej (można słuchać śpiewu, ale niekoniecznie trzeba oglądać śpiewaczkę).

Powracając z powrotem do omówienia zalet filmu, wcale sporych, podkreślmy z najżywszem zadowoleniem takt i umiar w sposobie podawania widzowi treści filmu, smak efektów komediowych reżyserii, nareszcie zadawalający wymagania europejczyka.

W głównej roli debiutowała p. Jadwiga Kenda, dobra śpiewaczka, aktorsko jeszcze sztywna i nieporadna. Na czoło zespołu aktorskiego wybiła się tym razem p. Lena Żelichowska, w trudnej do zagrania roli natrętnej wielbicielki cudzego męża. Zanotować należy większą rolę Jerzego Leszczyńskiego. Znicz zaczyna grać rutyną.

Pozyskanie p. Grossówny dla filmu (II-ga rola, o ile się nie mylę) uważać należy za korzystny nabytek.

ROMA: „Tańczący pirat”, film amerykański.

Gdy na początku smukły młodzieniec, o nijakiej twarzy, w obcisłych pantalonach tańczy w stylowem wnętrzu, gasząc przytem świece kinkietów i żyrandoli, mamy przez chwilę skrytą nadzieję, że tańcząc, w podskokach, lansadach i susach, opuści dom i wzbije się w górę, ku niebu, unosząc nas ze sobą w świat jakiejś pięknej, irracjonalnej historii. Ale złudzenie trwa niedługo: już za najbliższym rogiem ulicy młodzieniec dostaje w łeb i pada nieprzytomny. Jest to swoisty sposób piratów werbowania załogi na statek. Okrętem pirackim nasz bohater dostaje się do kraju, w którym brany za pirata, przechodzi szereg przygód.

Bajeczka ta, dla dorosłych i niedorosłych dzieci, tchnie jowialnym humorem; wszystko się dzieje w jakimś legendarnym niby—Meksyku, zaludnionym nieznaną dotychczas odmianą Hiszpanów. Ludność, na czele z burmistrzem, jest bardzo dobroduszna, życie pełne świateł bez cieni, a wieszanie np. — b. miłą, ludową rozrywką. Prosi się tylko skazanego, by gwoli nie mącenia serdecznego nastroju, zachował przyjemny wyraz twarzy.

Kostiumy, układ ewolucyj tanecznych, podkreślają dekoracyjność filmu, barwy (film jest kolorowy) mogły tu odegrać rolę niepoślednią; technika barwnego obrazu filmowego jest jednak jeszcze w powijakach,—narazie postęp może polegać na usuwaniu zbytnich jaskrawości.

Naogół film jest sympatyczny, dobroduszny i będzie się podobać.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Alter Wiktor. Antysemityzm gospodarczy w świetle cyfr. Warsz. 1937. Str. 63.

Lasocki Zygmunt. Społeczeństwo polskie w czasie wielkiej wojny. W świetle pamiętnika d-ra Hupki. Kraków 1937. Str. 50.

Berent Wacław. Diogenes w kontuszu. Warsz. 1937. Gebethner i Wolff.

Rusinek Michał. Pluton z dzikiej łąki. Powieść. Warsz. 1937. Gebethner i Wolff.

Brzozowski Stanisław. Współczesna powieść i krytyka. Artykuły literackie. Studia o Wyspiańskim. (Dzieł wszystkich tom VI). Oprac. B. Suchodolski. Warsz. 1936. Instytut Literacki. Str. 392.

Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny. Poznań, kwartał I 1937. Str. 286, 24 i (Skorowidz orzecznictwa) 38.

Piotrowski Stanisław. Żona i korona. Warsz. 1937. Str. 32.

Wildecki H. Niebezpieczeństwo żydowskie. Wyd. IV. Poznań 1937. „Gryf”. Str. 80.

Ziemak Stanisław. Wiosna i kobieta (nowele). Grodno 1937. Druk. Kresowa.

Gantkowski Paweł d-r prof. Technika żywej mowy. Cykl wykładów (12 rycin). Kielce 1937. Wyd. „Przeglądu Homiletycznego”. Str. 148.

Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku. V. Katowice 1936. Str. 403.

POKŁOSIE

SPÓR O SZEFA POLICJI

PRZED paru dniami w Warszawie odbywał się proces sądowy dość zabawny. Zarządzający czy właściciel najmodniejszego w stolicy lokalu nocnej rozrywki „Franz” Moszkowicz oskarżył o zniesławienie dwóch panów, którzy mieli utrzymywać, iż był on handlarzem żywym towarem, a podczas wojny należał do austryjackiej służby wywiadowczej. Proces zakończył się ugodowo, nie będziemy się i my zajmowali osobą p. Moszkowicza i jego kariery, która dla każdego znającego przedwojenne stosunki lwowskie stanowi źródło niebylejakiej wesołości. Ale podczas procesu poruszono rolę, jaką w polityce austryjackiej odgrywali dyrektorzy policji lwowskiej, szczególnie ostatni z nich dr. Józef Reinlaender, który i za czasów polskich pełnił jakiś czas jeszcze funkcje urzędowe.

Otóż jeden ze świadków, niedawny starosta lwowski p. Klotz, zeznał, że dyrektor policji lwowskiej dr. Reinlaender korespondował bezpośrednio, z pominięciem namiestnictwa, z Wiedniem i że miał między innymi polecenie inwigilowania Józefa Piłsudskiego. Stwierdzają to dokumenty w archiwum policji.

Zeznanie to warto zanotować, gdyż potwierdza pogląd, że mimo ustaw samorządowych i innych, faktycznym, prawdziwym mężem zaufania rządów austryjackich w Galicji był nie Namiestnik, lecz każdorazowy dyrektor policji we Lwowie.

Ostatni z nich dr. Reinlaender objął stanowisko na parę lat przed wojną. Poprzednik jego Schaechtel ustąpił, skompromitowany zamachem na A. hr. Potockiego, gdyż opinia publiczna pomawiała go o odegranie dwuznacznej roli w tej sprawie. Faktem jest, że dyrektor Schaechtel był w poczekalni audencjonalnej w Namestnictwie na chwilę przed zamachem, dyżurny komisarz policji, z pochodzenia Rusin, powinien był znać zamachowca Siczyńskiego i wraz z Schaechtlem interesować się nim bliżej i nie dopuścić do zamachu. Dyrektor Schaechtel po ustąpieniu przeniósł się podobno do Niemiec, a tam emeryturę osłodził mu również wysoki order pruski, bodaj „Czerwonego Orła”. Wszystko to wskazuje na to, że dyrekcja policji prowadziła politykę ruską, niezależną od Namiestnictwa, a zgodną z opieką, jaką do dziś dnia Prusy otaczają Ukraińców i ich dążenia.

Przed objęciem stanowiska po Schaechtlu dr. Reinlaeder odbył kilkumiesięczne przeszkolenie w Wiedniu i wrócił doskonale obznajmiony z arkanami austryjackiej polityki. Czy wypełniał gorliwię jej wskazania, mimo, że miał się za Polaka? Tak utrzymywano, ale są i przeciwne zdania. A oto dwa wspomnienia, które mogą rzucić nieco światła na tę sprawę.

Wiadomość o mianowaniu dra R. na stanowisko dyrektora policji przyszła do redakcji „Słowa Polskiego” bardzo późno, tak, że zdążyliśmy ją dać już tylko w rubryce z ostatniej chwili. Po skończonym numerze rozmawialiśmy o tym jeszcze parę chwil w głównej sali redakcji i wówczas jeden z nas, stary lwowianin oświadczył:

— Reinlaender podaje się za Polaka, chodzi do kasyna miejskiego i przyjaźni się z ludźmi, ale w gruncie rzeczy jest to właściwie szwab. Pochodzi z kolonistów z pod Szczerca i jak oni wszyscy, zachował narodowość niemiecką i będzie robił politykę niemiecką...

Już na drugi dzień piszący te słowa miał w redakcji wizytę adwokata M. dobrego znajomego nowego dyrektora policji i p. M. oświadczył, że dyr. Reinlaender polecił mu wyrazić ubolewanie, że w redakcji „Słowa Polskiego” uważają go za „szwaba”. Jak na wyczyn policyjny było to wcale niezłe, ale nieostrożne, bo naturalnie z łatwością przypomnieliśmy sobie kto był obecny przy wczorajszej rozmowie i wykryliśmy drobnego konfidenta. Widać z tego było, że nowy szef policji stara się mieć informacje o wszystkim, co było zresztą jego elementarnym obowiązkiem.

A teraz drugi wypadek. Na parę dni przed wybuchem wojny dzwoni do redakcji „Słowa Polskiego” dyrektor Reinlaender i żąda rozmowy z redaktorem naczelnym Z. Wasilewskim. Redaktora nie było jednak jeszcze we Lwowie, był w Kosowie, i do telefonu podchodzi w jego zastępstwie piszący te wspomnienie. Następuje djalog:

— Tu mówi dyrektor R.. oczywiście najzupełniej poufnie. Niech pan uprzedzi pana Dmowskiego, żeby natychmiast wyjechał ze Lwowa, gdyż jest rozkaz jego aresztowania i będzie musiał być wykonany...

— Kiedy Dmawskiego nie ma we Lwowie...

— Ze mną może pan mówić otwarcie. Ja wiem, że jest i wiem gdzie mieszka: w pensjonacie p. Strzałkowskiej przy ul. Piekarskiej.

— Panie dyrektorze, przypadkowo jestem w stanie sprostować to nieporozumienie Dmowskiego naprawdę nie ma we Lwowie, a u p. Strzałkowski mieszka prof. Dmochowski, powołany na katedrę z Warszawy. Przyjechał i ciężko zaniemógł na serce, leży w pensjonacie chory, więc niech pan każe to sprawdzić, bo ewentualne nawet pomyłkowe aresztowanie może sprowadzić fatalne dla chorego skutki...

Sprawdził i przekonał się, że mówiłem prawdę. Dla wyjaśnienia trzeba dodać że na krótki czas przedtem odbył się u p. T. Cieńskiego w Pieniakach zjazd polityków polskich, na którym Roman Dmowski wykazywał konieczność opowiedzenia się przeciwko państwom centralnym. Wiadomości o tym doszły do uszu wiedeńskich, i stąd nakaz aresztowania Dmowskiego, jak widzimy niezbyt gorliwie wykonany. Dmowski zresztą nie zatrzymywał się wtedy we Lwowie i pojechał wprost zagranicę, gdzie Niemcy niebacznie go potym wypuścili.

O roli dra Reinlaendera co jakiś czas ukazują się różne wersje, Sądziłem, że stwierdzenie tego wypadku jest interesujące.

ARGUS

NA MARGINESIE

Z listów do redakcji.

„Do przesądów światło ćmiących należy ten, że społeczeństwu trudno gospodarować. Biorę przykład z siebie. Wielkie są kłopoty z dziećmi w szkole. Ja dla tego swoich do szkoły nie posyłam. Wogóle radziłbym wszystkie szkoły pozamykać. Będzie spokój. Toby bardzo uprościło sprawę wydziału oświecenia publicznego. To samo radziłbym zarządowi kolei: zawiesić ruch pociągów. Ustaną katastrofy. Albo po co tyle kłopotów z ludnością, mającą pretensję do t. zw. życia publicznego. Zabroniłbym wszelkiego stykania się publiczności, wszelkich zebrań i uroczystości (takie np. Racławice!) Wszystko to są jajka Kolumba, nie trzeba tylko ich się wstydzić”.

*

— Ciężki będzie los pisarza powołanego do Akademii Literatury na ciepłe miejsce po Rzymowskim.

— Dla czego?

— Pierwsza jego mowa musi być poświęcona pochwale poprzednika.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.60 **PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.**